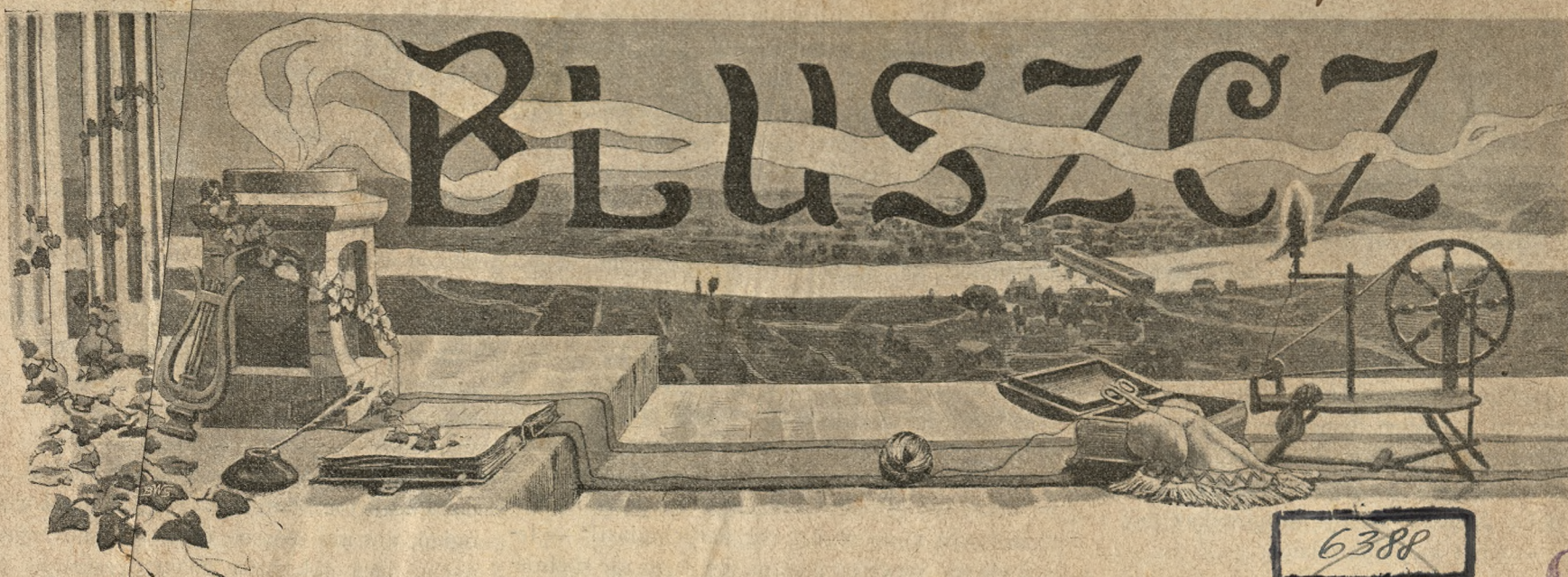




PISMO TYGODNIOWE, ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 0; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rub. 2 kop. 50, rocznie rub. 10. Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebiera i Spół. kwart. 5 marek.

Szczęś Bole w Nowym Roku 1904!

Redakcja.



Idzie!...



Jeszcze kilka d, godzin, chwil kilka. I przyjdzie.

Zkąd? Jedni mówią, że z wyżyn błękitu, spływne, niby gwiazda jasna, inni, że z głębokich otchłani niekończoności wynurzy się, jak nuzla, na brząz rzucona. Idzie!... Nieznany, nowy, spow. ludzkich marzeń i pragnień tęczami, wykłany tysiącami tęsknot i rozjaśniony złudzi błyskami.

Wszyscy chcą więc w nim to, czego poprzednik nie dał, a nie będzie innym, jak były tysiące przeszłych, dawno minionych.

Zdaje się, że w patrzeniu jakiejś dalekiej, w przestworach niezianych, zapada niby kurtyna zszarzała i owiała, a na jej miejsc wysuwa się nowa jasna i barwna. Jak na podniesienie zasy teatralnej czekają niecierpliwie oczy wów, tak na tę zmianę daty jednego roku czują ludzie z niepokojem, trwogą i nadzieją.

Cóż się ma zmieścić życia kolei, że życzeń sypimy garściami? Cóż „on” ma przynieść nowego, o jakamy z drżeniem i niepokojem?

Zmieni się tylko jedn liczbą w szeregu czterech, jedna tyl marta litera przemknie się w dacie!

Idzie!...

Zdaje się, że jak olbrzymi przeleci nad

ziemią, że duch nowy zstąpi wśród nas, a więc życzymy sobie wzajem szczęścia, zdrowia, sławy, pociechy, chleba i wszystkiego, czego ludziom trzeba. A on idzie i niczego nie niesie, nie nie przyrzeka, a tylko bierze to, co znajduje i na falach wieczności unosi w przeszłość.

Nie „on” idzie, ale my posuwamy się w przyszłość o rok jeden. Nie on ma dać to, czego ludzkości potrzeba, ale my mamy to wszystko zdobyć, przynieść, wyorać, wykuć i wykrzesać.

Idzie nie rok nowy, ale życie idzie nowe, posuwa się naprzód i nie wraca wstecz. Dziś, jutro, pojutrze: oto kroki życia, a lata całe, to jak słupy milowe, które choć znaczą odległość, nie zmieniają w niczem drogi, nieraz kamienistej, krętej i twardej.

Jeżeli chcemy zmiany na lepsze, nie żądamy, aby „on” był dobry, pogodny, cichy i szczęśliwy, lecz starajmy się, abyśmy lepiej żyli, mężniej wytrwali, gorliwiej pracowali.

Idzie nie „Nowy Rok”, nie chłopię z czarodziejskiej baśni, które dać może, czego ludzkość zapagnie, ale idzie siła czasu trzystu sześćdziesięciu pięciu dni; toczy się machina olbrzymia, którą trzeba wytrwałością w ruchu utrzymać.

Każdego roku otwierała się przed nami olbrzymia przestrzeń 12 miesięcy, a gdy rok się kończył, byliśmy ubożsi i jeszcze smutniejsi, a tak rzadko szczęśliwsi. Nie zdeptaliśmy ciemnoty, bo nie wszyscy stanęli do dzieła, nie zmogliśmy nędzy, nie wyleczyliśmy się z kastowości i samolubstwa, nie wyrzekliśmy się obcych wyrobów, nie pozbyliśmy się wyzyskiwaczy.

I teraz wołamy: idzie „Rok Nowy!” Dopóki my będziemy ci sami i wady mieć będziemy te same, to roku „nowego” nie będzie. Zmieni się tylko jedna liczba w dacie, przybędzie każdemu z nas do liczby lat je-

dnostka nowa, posunie się klepsydra życia o ziarnko piasku dalej i wszystko będzie, jak było.

A przecież każdy rok powinien się znaczyć postępem, zdobyciami kultury, dobrobytu.

Jadwiga z Ż. Strokowa.



MATKA.
NOWELLA.

Jakie marzenia rolałam dla niego, jakie sny cudne!...

Gdy mały aniołek różowy na pościółce swojej rozkosznie się wyciągał, lub drobne piastki zacisnąwszy spał uśmiechnięty, siedziałam przy kołysce i sniałam.

Sny to były z promieni utkane i blasków, z zórz słonecznych, z majów i wiosen, z brylantowych drgań poranka, z woni najprzedszych, z harmonii najwspanialszych — sny tęczowe, najpiękniejszymi barwami się mieniające.

Pod stopki dziecka, te stopki, które nie umiały jeszcze sobą władać, rzucałam wszystkie skarby świata, w dłonie kładłam berło, lub zapalałam w mózgu pochodnię wiedzy, do ramion przypinałam skrzydła, gwiazdę do czoła i pragnęłam, żeby o władzę ziemską, skarby i zaszczyty nie dbał, lecz w górę wysoko się wzbijał, po tę władzę najmożniejszą, co panuje nad duchami.

Bajki o zaklętych królewiczach, smokach i potworach — mniej cudowności w sobie mieszczą, niż ich wysnuła moja wyobraźnia.

Czyż ja jedna przemarzyłam tyle?...



C2 434/1904

Niech się śmieją ze mnie matki, co przy kolebkach synów swych stoją pokorne, zrezygnowane na wszystko: „co Bóg da,” niczego nie żądając i nie pragnąc. One są rozsądniejsze, a nawet szczęśliwsze, bo nie spotka ich przykry zawód—cóżem jednak winna, że taką być nie mogłam!

Nie mogłam, oczywiście.

Dziecię stanowi dla matki skarb bezmier-ny, a coś dopiero, gdy ono jest jedyne i gdy ten, co mu ojcem był, poszedł w drogę, z której się nie wraca; wówczas to już całe uko-chanie, jakie serce objąć może.

Ludzie mówili, że ja biedna, bo zostałam samotna z małym dzieckiem. Samotna—ja? przy synu moim? towarzysz taki i samotność!...

Litowali się, że ciężar dźwigam—on ciężar-rem?... Józio!... To był drogowskaz mój i si-ła—to był mój dobrodziej.

Gdy mi zabrakło ramienia męża, jego do-brego słowa i uśmiechu, gdziebym ja była poszła sama jedna—dokąd? w którą stronę?... Z Józiem u boku sieroctwa nie uczułam, ce-lu szukać nie było mi trzeba; droga wytknię-ta szła prosto przede mną, cel u jej kresu mienił się brylantami marzeń.

Podążylaś tą drogą na pozór obciążona a lekka, z sercem pełnem otuchy, z wiarą w przyszłość. Nie widziałam ani wybojów, ani cierni; nie czułam, że przedzieram się przez gąszcz, że dłonie mi się krwawią i sto-py, że krokiem bardzo wolnym idę naprzód, gdy inni mnie mijają—ten i ów potrąci. Ty-le sił duchowych miałam w sobie, że nie czu-łam chłodu poranka, żaru południa, ani lęka-łam się ciemności nocnej. Od chłodu, żaru, lęku ochroną był mi Józio i moje sny złote.

Roilaś, że dopóki wzroku mego mgła śmier-ci nie zasłoni, zawsze nim w oczach syna,

niby w księdze otwartej czytać będę, że zo-staną zawsze dla mnie jasne i przejrzyste, niby kryniczny źródło. Roilaś, że co wieczór syn u nóg mych siądzie i głosem przyciszo-nym, ufnie, słodko myśl każdą wypowiada, że przeleje w duszę matki najłżejsze drgnie-nie duszy własnej.

Roilaś, że gdy urośnie duży, a stanie się wielki, rozwojem swego ducha ze mną się podzieli, na wyżyny myśli poprowadzi, w górę uniesie—nie zostawi samotną. Roilaś, że będziemy zawsze razem...

* * *

Gdy chłopca powiodłam do szkoły, serce moje rozsadała pycha: Taki rozumny, silny, piękny! wszyscy podziwiają i zazdroszczą...

A gdy wybuchnął płaczem i zawołał: „Ma-mo! weź mnie ztąd, weź natychmiast!” — le-dwie się powstrzymałam, by tego nie spełnić. Wróciłam do domu bardzo smutna, na siebie samą rozżalona.

Żal mój zamiast ustąpić, wzmógł się jesz-cze, gdy w kilka godzin później, przyszedł-szy po dziecko, znaleźli je wesołym, za-przyjaźnionem z kolegami i tak pewnem sie-bie, że wołało:

— Nie trzeba mnie prowadzić, mam — ja mężczyzna. Sam pójdę i sam wrócę!

...Patrzałam przerażona i bezradna, gdy wy-szedł uśmiechnięty, zdawało mi się, że pękła nie serdeczna, łącząca nasze dusze.

Potem bywały chwile, w których czułam, że klucz od duszy Józia gdzieś mi przepadł; że go zgubiła i nie wiem, czy odnajdę kie-dykolwiek. Chwile te powtarzały się coraz częściej, a trwały coraz dłużej, w miarę, gdy syn mój rósł i męźniał. Czytałam w oczach jego łaskawą pobłażliwość; zamiast ufności,

powątpiewanie młodzienaszka, a czasem bunt szorstki przeciw wierzeiom moim.

Świat zabierał mi dziecię, z brutalstwem siły żywiołowej gwałtownie wydierał mi Jó-zia. Dawał mu naukę, broił do walki o byt, więc niby uposażał, lecz pozbawiał zarazem skarbów wiary naiwnej, prostej wiary, co droższa nad naukę, silniejsza, wszechpotężna.

Józio stał się szyderczy i nieufny; wielbił siłę, uczucie zwał słabością. Na wyżyny piał się mozolnie, aby coś posił, co nie było ani szczęściem, ani sławą, ani nawet władzą, a zwało się—użyciem. Dążeń obce stały między nami i rozdzieliły as. Szliśmy obok siebie, lecz nie razem, nieak dotąd — ręka w rękę.

Patrzałam w oczy mego syna, ale w tych oczach nie umiałam teraz czytać; płonął w nich ogień, ale nie ten, co ogrzew i podtrzymuje życie, lecz jak łuna pożaru straszny. Słu-chałam, gdy mówił, nie du; jednak pojąć mogłam; w wyrazie każdym gwał sceptycyzm i szyderstwo—dźwięki dla mnie puste.

Wreszcie spojrzenie Józia ucało zupełnie drogą mi przejrzystość; mąciły je jakieś błę-dne fale, czasem chwilowo, a czasem na czas dłuższy.

Chłopiec zamyslał się i bladł, unikając me-go wzroku, jak winowajca, kóremu wzrok sędziego ciąży. Pytania sprawiły mu przy-kroś—uciekał zaraz, a powóciwszy, milczał. Że pracował bardzo i uczył się nad miarę, policzyłam tę wrażliwość na kab znużenia umysłu. Siłą woli stłumiłam nieokój, gnę-biący mnie przewidywaniem Bóg wie jakich nieszczęść i katastrof.

* * *

Nagle chłopiec mój zawił — wudziestą pierwszą wiosną życia zjaśniał, niby Maj.

PRZY KOMINKU.

(Pogawędka).



Zaiste! mogą do szczęśliwych zaliczyć się ci, co mają ką przylutny i kominek z ogniem trzaskającym.

Na dworze mróz, drzewa brylantują się szronem, okna mieszkań ludzkich srebrzyste-mi zasłonami okryte, które w tajemniczej przedziałni tkane, przepysznymi świecą arabe-skami, patrzą na ciebie białymi kwiatami róż mistycznych, łamią się w arkady mostów dya-belskich, zawieszonych nad otchłaniami, strzę-pią się dziwaczными liśćmi paproci niewidzia-nych, rysują się w zamki i wieże gmachów czarodziejskich i myśl twoją w dalekie, dale-kie przenoszą czasy, kiedy wierzyłeś w cuda i czary, szukałeś znaków na ziemi i na nie-bie, potrzebnych dla wiar twoich, dla marzeń twoich. Żywy na kominku blask ognia, na szybach okien te malowidła dziwne, rzucone ręką tajemniczego artysty-malarza, chwilowa cisza i miarowy ruch wahadła zegarowego — nie mówią-że czasami do ciebie więcej, niż gwar ludzki? nie są-ż bogatsze w treść nie-raz, niżeli tak zwana towarzyska rozmowa, w której się płaczą, jedne i te same wyrazy,

jedne i te same wypadki, nudne, jak życie dzisiejsze, bezbarwne, jak dni, które przeży-wamy, że aż wycie chce się, w tej pustce a czczości zostając?

Tymczasem szmer rozpadającego się węgla, iskra, która nagle z popieliska strzeliła—wy-wołała w twojej duszy jakiś obraz przygasły a piękny, bo odmalowany w młodości jeszcze, kiedyś wystarczał sam sobie, sam dla siebie tworzyłeś świat, sam dla siebie bilesz gościń-ce, byłeś panem swych myśli twórczych, sa-mowładcą dróg i losów własnych. Nie prze-klinał życia, że ono w pył marny rozwiało marzenia, koronę z głowy, berło z rąk wytrą-ciło: władzyką byłeś przez chwilę jedną, udzieln-e miałeś królestwo marzeń, dziedzictwo z dziedzictw wszystkich najpiękniejsze, bo snów krainę, napełnioną ogniem twojej duszy, rozżęconą słońcem twoich pożądań, przepo-tężną ona siłą młodości, która pozwoliła prze-żyć ci wszystkie bóle i zawody, ruiny ukwie-cić, w popioły technąć życie. Nie można za wiele mieć skarbów — a miałeś młodość, dziś masz — wspomnienia. Nieszczęśliwi tylko są ci, którzy tych skarbów nie mieli, lub roz-trwonili je przedwcześnie, nie zostawiając z nich nic na dalszą wędrówkę żywota: nie-szczęśliwi są ci, u których progno nie stanie bajarz stary dui ich młodzieńczych i bajki swojej nie potrafi zacząć od słów:

— Pamiętasz?...

Litość wam niosę, berzezną litość, dusze, nie mające wspomnień (onecznych)!

Potego wspomnień! o,ż to razy,
Gdy przedzy marzeń nła się nie złota,
Gdy duch, osłabły marną żywota,
Padal bezsilny, a mót wyrazy
W niema się skargę ienialy; w dni owe,
Gdy serce tylko krągiem krwi biło,
Nie uczuć mocą, niałości siłą —
Gdy na pierś ciężkoczymałem głowę,
Szukając ciszy, chy pod mogiłą:
Pieśnia, przeszłościuów uroczych wstęga,
Oczom lzy dając, zy siły nowe,
Tyś się zjawiała — wspomnień potęgo!...
I wpatrywałem się owe obrazy,
Znane tak dobrznilion razy
Odezute, — w pi się wsluchiwałem ową,
Znaną tak dobrz — a wieczyście nową!
I ja, za toba, gdo czarująca,
Szedłem w światłasku, błękitu i słońca —
I wydobyte z gowyh rozwalin
Bogi swe dawn ożywiałem technieniem —
I, idąc, gwiazd za toim promieniem,
Znów oddycham wóą róż i malin!..

Na kominku zerwce ognisko płonie, na szybach mróz raluje y i floresy, bajarz sta-ry ławę zasiada; i dziw mi prawi o młodo-ści „bujnej i emurnej o ciszy ścian ojcow-

Stał się znów dzieckiem wesołym po dawnemu, dzieckiem wierzącym, dobrem, a tak szczęśliwym, że lada drobnostka go cieszyła. Spiewał i śmiał się, ukradkiem kartki drobne zapisywał, w objęcia mi padał i całował, do ucha najśłodsze słowa szeptał, lub ręce oblewał mi łzami wśród wybuchów śmiechu. Takie przecudny był w tem wszystkim!...

Z wakacyi letnich właśnie wrócił, od kolegów, gdzie dano mu przez miesiące parę gościnności i zarobek i odmieniono w czarodziejski iście sposób. Pojechał, niby gałązka nadwiednięta, a wrócił dębczak zielony, w pełni sił. Jakże im byłam wdzięczna za tę odmianę!... Nasłuchać się nie mogłam o dobroci tej rodziny, o tradycjach pięknych, przodkach sławnych, o poważaniu, jakim wśród sąsiadów-ziemian państwo Krzemińscy cieszą się oddawna. Józio opowiadał całemi godzinami; nigdy też nie było dosyć jemu opowiadać, a mnie słuchać.

Mieszkają tam w domu, który wyhodował kilka pokoleń, gdzie każdy kamień jest pamiątką, każde drzewo drga wspomnieniem milem albo smutnem. A portrety, a zbroje, a suknie tkane złotem, pasy lite, karabele drogiemi kamieniami zdobne, kosztowne rzędy, siodła!... Wszystko jest historią rodu, kroniką wielkości jego i chluby.

Nie każdy wszakże kto się w domu zjawi, skarby te ogląda, on jednak, Józio, miał dozwolone rozpatrzeć najdrobniejszy szczegół — i w bibliotece szperać, i w foliach starych, i w aktach. Moc bogactwa tam się kryje, zamkniętego przed światem.

Gdy zauważyłam, iż przez zamknięcie takie, skarby na wartości tracą, bo nie przynoszą pożytku, Józio z żalem na mnie spojrział i przedzę wspomnień wakacyjnych snuć

zaprzestał. Po chwili jednak mówić zaczął, objaśniać mnie, dowodzić, że skarby są przecież nie na to, byśmy je rozrzucali, czas bowiem ich pożytku wcześniej czy później przyjdzie kiedyś.

Umilkłam — wstyd mi było. Jakież mam prawo stawiać zarzut samolubstwa ludziom, którzy dali dziecku memu tyle chwil dobrych, odrodzili mi je niemal — natchnęli wiarą w życie, wesołością i energią!... Józio słusznie mówi: oni tych skarbów nie marnują, lecz zamiast marnotrawić, chronią.

Z opowieści Józia wyłoniła się postać cudnymi urokami zdobna, jedyna córka rodziny Krzemińskich — Zosia. Cała w promieniach zesłała do mnie, cała w blaskach, owiana aureolą zachwytów młodej duszy syna mego.

Opiekunka starców i chorych we wsi, założycielka ochrony dla dzieci, gdzieindziej bez dozoru zostawianych, Zosia miała głos słodki i „oczy, w których serce można zgubić.“

Zamiast ręce łamać nad słowem tak namiętne, spojrzałam uważnie w oczy Józia i — nie wątpiłam już.. On serce zgubił — lecz Zosia zgubiła też swoje w słonecznej głębi jego żrenic. Kochał i był kochany.

Ale pierwszokwiatów ginie zazwyczaj od mrozu — chłodny powiew życia zabija tak samo pierwszokwiaty uczuć. Ledwie niekiedy, raz na lat dziesiątek wyrosnąć pozwoli jednemu i w pełni się rozwinąć.

Chłopiec mój pobladł i posmutniał — a miał od najmłodsze wieku taką zaciętość w bólu, że nigdy się nie skarżył. I teraz milczał. Chwilami się ożywiał, lecz o nauce tylko mówił, o tej sławie, władzy, sile, jakie ja wymarzyłam dlań w godzinach samotności.

Środkami temi miał szczęście swe zdobywać — pozyskać Zosię. Na te podboje wszakże lat mu było trzeba trzech, czterech do pięciu; chętnieby je oddał, gdyby rodzina pannenki się zgodziła. O przyzwoleniu tem niekiedy wątpił, chwilami znowu liczył na nie, otuchy pełen.

— Tacy ludzie zaci! ludzie wielkiego ducha!

Brat Zosi unikał wprawdzie rozmowy o siostrze; nie lubił poruszać kwestyi, której rozstrzygnięcie od ojca zależało — zrobił się nawet chłodniejszy, rzadko odwiedzał Józia, albo wpadał na chwilę. On byłby pewno inny, gdyby otwarcie powiedzieć mu można, co Zosia szepnęła Józiowi:

— Przeciwno woli ojca postawię moją miłość i będę czekała. Mama wie o wszystkim.

Józio panu Andrzejowi słów tych nie powtórzył, więc też przyjaźń się rozluźniła, coraz widoczniejsze powstawały w nich wyłomy — widoczne jednak tylko dla mnie z początku.

Rok minął, drugiego dobiegła połowa, gdy myśli Józia jasne dotąd, zbladły. Pracował bez zapału, poddał się zwątpieniu i smutkowi, opuściła go wiara w przyszłość. Rozmowy nasze były krótkie, krążące około przedmiotów obojętnych, urywane czasem w połowie zdania, nienaturalne, jak gdyby obmyślane naprzód z wysiłkiem.

Raz, wieczorem, Józio wpadł do swego pokoiku — późno już, bo zdążyłam się przespać, i jęk mnie obudził. Usłyszałam jeden wyraz, wciąż powtarzany z akcentem rozpaczki:

— Zosia! Zosia!

Serce mi zamarło. Po ciemku, by nie zdradzić, że coś wiem, że słyszę, z łóżka się ze-

skiego domu, które — była chwila — wypełniły szelesty dziwne, szepty tajemnicze, głosy stłumione, kroki ostrożne, dreszcze niepewności, trwożliwe bicia serca... Wychodziła na cmentarz niedaleki jedna i druga trumna, unosząc z sobą w cienie grobowe nie marne szczątki ludzi, lecz — epoki całe.

Bo zważcie jeno...

Oto śmierć matki mego ojca.

Pamiętam tak dobrze tę postać gołębią, o oczach nie przyćmionych latami, o barwie szafirów, w które całemi godzinami się wpatrywałam i byłam rozkochany w tych ciemnych szafirach babki. Urodziła się w r. 1760-ym, zmarła w r. 1865-im. Zważcie, że miała pamiętać żywą, umysł nie stępiony, serce kochające zawsze...

Wdowieństwa liczyła lat 63.

Umarła w otoczeniu wnuków, mając wizję męża swojego, Michała, który wzywał ją do siebie.

Poszedł-li z nią do trumny marny tylko zewłok ludzki, czy żyjąca historia lat stu?

Chodź, mój bazarzu, dom gościnny, ława wygodna. O rok znów jeden oddaliłem się od dni mojej młodości, o rok jeden zbliżyłem się do tajemniczej krainy przyszłości ciemnej. Nowemi marzeniami i pragnieniami niech nowe pokolenia żyją — ty, baj, Baj, o tem wszystkim, com umiłował, com kochał; ku

czemu — gdy ogień na kominku się pali, gdy mróz maluje kwiaty, a mrok mnie w samotności otoczy — dusza się rwie i tęskni.

Zali gniewacie się na mnie czytelnicy i czytelniczki, że przyszedł dziś do was z marzeniami własnymi, ze wspomnieniami, które potrafiły mi duszę?... Moje to niby są, lecz i nie moje zarazem. Wždy znamy się tak dobrze, tak często myśli nasze i uczucia się łączyły, że dusze i serca spokrewniły się z sobą, że każdy sen mój jest i snem waszym, z waszemi i moje własne wspomnienia się łączą.

Rok się kończy. Z życzeniami przyjąć do Was wypada, a ja z bazarzem się starym zabawiam, słucham trzaskania ognia na kominku, na arcydzieła mrozu patrzę, zapomnianych strun lutni dotykam —

A do moich uszu wpada
Noworoczna pieśń anielska —
Jakaś cisza wieje sielska,
Jakiś obraz się układa —
Budzi duszę czar nadludzki,
Rozbudzona — w skrzydła bije —
Złotych wspomnień pas się wije,
Łśni barwami, jak pas słucki.
Za mgłą srebrną, snów obłokiem,
Mara mare, cień cień goni —
I drży serce... a pieśń dzwoni:
„Z nowem szczęściem, z Nowym Rokiem!“

Ach! młodości szal zapalny
Dawnym ogniem pierś potracą —
Pieśń się zmienia w hymn chórny,
Uroczysta, silna, grzmiąca!
Nie wezwana, nie wolana
W rytmy, rymy się rozlewa,
Tak anielskim głosem śpiewa,
Taka znana, — ach!... tak znana!
Dawnych wspomnień gra urokiem,
Myśl do górnych wznosi lotów,
Żem uwierzyć jeszcze gotów
W nowe szczęście z Nowym Rokiem!

Wspomnień siło!... jesteś księgą
Z wielkich życia kart złożoną;
W dniach, gdy braknie tehu — potęgą,
Iskrą w piorun zapaloną!
Jesteś pełną winą czarą,
Która darzy upojeniem —
Jesteś ogniem i płomieniem
I wygasłych wiar znów wiarą!
Spłynie szczęście dni potokiem,
Mgła perłowa słońce przyćmi —
A ot — łączy nici z niemi
Pieśń rzucana: „Z Nowym Rokiem!“

Z jakich krańców ziemi spływa,
Jakie skrzydła ją unoszą,
Że mi dusza drży rozkoszą
I szczęśliwa — nieszczęśliwa!

rwałam i padłam na kolana w modlitwie gorącej.

Prosiłam Boga, by odwrócił miecz płomienisty, który zawisł nad moim dzieckiem, by strzaskał czarę, jadem goryczy napelnioną. Przeciw pokornemu „stań się wola Twoja” — otwarty bunt podniosłam.

— Nie chcę! nie chcę! — wołałam wszelkimi siłami udręczonego ducha.

Wstawszy, ledwie dzień zaświtał, spotkałam się we drzwiach przedpokoju oko w oko z Józkiem. Ubrany był do wyjścia i jakby moją obecnością wylękł. Obie ręce podniósł w górę, ruch ten odchylił mu połę płaszcza: z kieszeni kurtki lufa rewolweru błysnęła stalową żrenicą...

Nie mogłam stłumić krzyku.

— Przestań, matko! — rzekł głosem bezdźwięcznym. — Straciłem wszystko, com posiadał, opuściła mnie chęć do życia. Nie mam siły iść bez celu.

— Bez celu! — powtórzyłam głucho.

— Tak!

Doręczył mi kartkę zmiętą, od łez wilgotną, małą kartkę, na której mieściły się wyrazy:

„Nie wolno mi dla szczęścia własnego rzucić rodziców na pastwę losu. Mam obowiązek ratować ich, gdy mogę. Czuję to i zwracam panu słowo, przyjęte w chwili, gdy warunki rodziny mojej były pomyślniejsze. Dziś wszystko się zmieniło.

„Wychodzę za stryjecznego brata matki, za dobrodzieja, który Olszówkę od sprzedaży uchronił. Polecam pana Opiece Bożkiej.

Zofia.“

(Dokończenie nastąpi).

Karolina Szaniawska.



TRZY SONETY.



I.

Oto są moje cudne ogrody...
Witaj, tęczowa harfo motyli!
Irys płomienne usta rozchyli,
Lilia się kapie w jutrzence młodej.

Dajcie mi całą słodycz tej chwili,
Dajcie promiennosc dalekiej wody,
O wy! uroczę moje ogrody,
O! czarodziejska harfo motyli!

Skróś kwiatów ranne szepty się niosą,
Królewskie głowy płomień obwije...
...Wiatr dłonie muska tęczową kosą...

Senne irysy, smętne lilije
Chyłą się do mnie, brzemienne rosą,
A serce bije tak, bije, bije!...

II.

Jutro ci ducha najtajniejsze głębie,
Najskrytsze czucia rozjaśnie, otworzę,—
By uleciały — skrzydlate i Boże,
Jako rzucone na błękit gołębie.

Jutro chcę tobie świecić, jako zorze;
Jutro po niebie rozdzwonię i wszędzie
Najtkliwsze struny — słowicze, labędzie,
I ukolyszę ci ducha, jak morze.

Lecz dzisiaj, nim się fale uczuć zbiegą,
Jeszcze się myślą niesforą zabawię,
Jak dziecię klingą miecza ojcowskiego.

Dziś pójde cicha po giętkej murawie,
W złote obłoki listowia drżącego,
I sama nie wiem, gdzie serce zostawię.

III.

Więc znów się dusze nasze splotły, jak powoje,
Lotnie ukolysane powietrznymi kręgi,
Znów cisi, próżni ziemskiej chwały i potęgi,
Płyniemy,— czyste uczuć zapalając zdroje.

Tylko już rdzenia ducha nie targniem do żywa,
Żeglując wonnym szlakiem błękitnych korabi,
Tam, gdzie nas Złuda skrzydły tęczowemi wabi,
Chimera oceanu — błędna i zdradliwa...

Tysiąc razy w twych oczach jak zorza się zmienię,
Tysiąc razy na płochę myśl zaigra fali,
Tysiąc razy pod stopą morze się zapali.

...Znów serca trwoga, lica ogarną płomienie,
Znów będziem spiewać rzewnie, mówić nieprzytomnie,
Jak wczoraj!...

...Lecz ty duchem już nie wrócisz do mnie!..

Miles.



Kolędy w rodzinie.



Jeśli Bohdan Zaleski powiedział, iż „pieśni ludu—jedwabniki,” to kolędy można nazwać — „gwiazdami.” Pieśni ludu, — jak jedwabniki snują i przędą, cieniuchne, trwałe, lśniące niteczki i wszystko niemi osnują i wszystko niemi zwiążą i wszystko niemal w pamięci utrwala, tak, iż w tych pieśniach żyć będzie przeszłość i teraźniejszość, smutek i radość, przestroga i nauka.

A kolędy — nasze, polskie, ludowe kolędy, jak promienie jasne na serce padają, świecą, jak gwiazdy nigdy nie zgaszone i — nie jeden raz wskazują drogę...

Gdzie spiewano tę pieśń starą?...
Nie wiem nawet czy ją znacie —
O! młodości złota maro,
Wstań w dyadademie tęcz, w róż szacie!...
Pójdę z tobą krok za krokiem,
Gdzie się pszenne chwieją łany,
Gdzie w bezbrzeże step rozlany —
Z nowem szczęściem, z Nowym Rokiem!

Jak to dawnol... Twarz mi zbladła
Nagle... Jak to bardzo dawnol...
Życia duża część odpadła,
Kiedym suknię wziął wyprawną,
I nadziei pieniądz złoty,
I tę wiarę niezachwianą,
Że na rozkaz mój powstana
Czarodziejskie zamki, groty!...
Pożegnany łzawym wzrokiem
Moich... zmarłych — ot, pachole,
Szło na dolę i niedolę
Z nowem szczęściem, z Nowym Rokiem!

Co tam padło i jak padło,
Na spowiedzi powiem Bogu.
Dzisiaj wspomnień lśni zwierciadło:
U żywota stoję progu —
Marzy mi się dom... rodzina...
Praojcowy dom stuletni —
Noc gwiazdzisty płaszczy rozpina,
Z siola płyną dźwięki fletni...

Jakiś gwar i szum — potokiem
Płynie przez dwór i do dworu...
Pomnę tego czar wieczoru,
Sny się budzą z Nowym Rokiem!...

Dziwna rzewność mnie ogarnia —
Dawne święta! dawne czasy!...
Od kolędy drży piekarnia,
Szare świty, krasne pasy,
Pieśni rozmach niesłychany,
Zatonięcie w nich bezkreśne,
Polne szumy, szmery leśne,
Grom gdzieś z niebios przywołany:
Płyną brzmieniem — precz — szerokiem,
Z siłą, z pędem huraganu...
Pieśń wydzwania „pani,” „panu”
Nowe szczęście, z Nowym Rokiem!

W izbie duszno... Mgła oparu
Nad głowami się unosi —
Oddech ciepły szyby rosi,
Ściany drżą od pieśni gwaru —
Uśmiechają się oblicza
Ogorzale, zaporozkie...
Dla „panienki” — dla „panicza”
„Hej — na zdrowie!” Rany Bożkie,
Jak się serca tym widokiem
Rozczulały, jakie głosy
Biegły z izby aż w niebiosy
Z nowem szczęściem, z Nowym Rokiem!

I pamiętam, jak szły dary
Za pieśń z ręki „pani,” „pana” —
Do starszyny ojciec stary
Pił, aż brzękło dno u dzbana.
I pamiętam, jak w objęcia
Bral mnie jeden — drugi — setny,
Wróżył szczęście i los świetny,
Jak wierzyłem w moc zaklęcia!
Nie odwrócił się nikt bokiem
Ani patrzył po za siebie —
Przypominam, pieśni — ciebie,
Przypominam — z Nowym Rokiem!

Z wami dzisiaj serce sprzęgam,
Towarzysze mi rówieśni!
Przywołuję dawne pieśni,
Ale w przyszłość wzrokiem sięgam —
Stare lata w dal uchodzą,
Idą nowe pokolenia...
Nie wiem: z lodu, czy z płomienia,
Co zasieją, co urodzą?
Za mgłą jeszcze, za obłokiem
Dni jutrzejszych wielkie morze —
Ja was witam w Imię Boże
Z nowem szczęściem, z Nowym Rokiem!

Kazimierz Gliński.



Sto — tysiąc innych piosenek słyszanych w dzieciństwie zapomni się w życia trudach i walkach, ale kolędy słyszanej w domu, śpiewanej w gronie rodziny nie zapomni się nigdy... Jest jakaś siła w tej nucie — niezem nie zachwiana, jest jakaś moc w tych słowach nigdy nie obalona, jest zarazem i słodycz tak rzewna i miła, iż zmrożone wszystkimi wadami serce jeszcze się przy kolędzie rozgrzeje i jeszcze lepszym zdawać się będzie.

Ileż to razy — temu, który wszystko, co z domu uniósł, zatracił, wszystko, co było piękne, podeptał, co było zacne — splugawił... ileż to razy nuta kolędy takiemu cudną przeszłość przed oczy stawiała, serce rozczuliła i ku poprawie powiodła?...

Gdy o północy, dzwonek Mszę Pastorską oznajmi, a lud zebrany w kościele pełnym radości głosem zanuci: „W żłobie leży!...” zdaje się, każdy myślą wraca w te strony, kędy z rodzicami, przy stole wigilijnym raz pierwszy tę kolędę śpiewał!... I gdy kolędy rzucają słowo po słowie, nutę za nutą... o tem, jak pasterze za gwiazdą spieszyli, jak Anieli grali, jak wół i osioł Dzieciątka ogrzewali, coś się w duszy człowieka rozpala, jak lampa słoneczna, rozgrzewa się serce, rany życia goją się, ból się zapomina... a oko widzi stół w ojców chacie, matkę przy oplatku... ojca błogosławiącego, braci — siostry... jak ptaszyn trzepocące się z radości.

I jakby gwiazda rozpalila się promienna, tak kolęda wszystko widocznym uczyni, tak rozjaśni to, co ciemne, tak upiększy to, co smutne, tak przybliży wszystko to, co dalekie. Na dźwięk kolędy — nie jeden raz syn marnotrawny nawracał się, zbłąkany wśród bezdroży odnajdował szlak swej drogi, sceptyk z wszystkiego drwiący pochylał czoło — ateusz poczynął szeptać słowa modlitwy...

I jak jeden z filozofów powiedział, iż „matka jest jedynym bogiem, wobec którego nie ma ateuszów,” tak można i to śmiało wygłosić, iż kolęda jest pieśnią, wobec której nie ma obojętnych, lecz tylko ci kolęd nie kochają, którzy nie słyszeli ich w domu rodzinnym, którym jej nuta nie przypomina słodkich imion rodziców, pięknych lat młodości.

Kolędy w rodzinie są, jak talizmany. Pozostawiają ślady niezatarte i piszą wrażenia trwałe.

Więc ani wiedzą, ile krzywdy robią ci, którzy wytrącają z domu kolędy, którym się już ta „staroświecczyzna“ nie podoba, którzy uważają śpiewanie kolęd za rzecz stosowną dla piekarni lub izby czeladniej.

Bez kolęd wesoło nuconych w całym gronie rodziny, gdzie to razem i służbie pozwolą zaspiewać donośnie, zdaje się, że cała uroczystość Świąt Bożego Narodzenia stanie się mniej serdeczna, wesoła i miła.

Są domy, w których w ogóle zwyczaj nie ma, Wigilia obchodzi się tylko z nazwy, ale nie wedle zwyczaju. Chwila łamania się oplatkiem wydaje się więcej śmieszna, jak uroczystą, zbywa się, jako ceremonię ledwie cierpianą, ale nie kochaną, po sutej zaś wieszce albo zasiada się do kart, albo gra włoskie melodie na fortepianie...

W takich domach, dzieciom nie rozbłyśną gwiazdy — kolędy i nigdy serca ich nie roz-

czulą się na dźwięk melodyi tak miłych i tklivych. Ludziom wyrastającym w podobnej atmosferze, braknie tego, co bywa rylcem pamięci głęboko zapisane; tego, co buduje podwalinę wiary, co serce rozpala zachwytem...

I czemuż pogardzać dziś naszą kolędą? i czemuż spychać ją z salonów pysznych do kuchni lub garderoby? czemu wytrącać ją z życia rodzinnego, gdy przecież ona tak jest piękna, tak dobrze służy i tak nigdy nikomu nic złego nie przywiodła?...

Pospolita? wszędzie ją śpiewają i po lepiankach ubogich i po suterrenach wilgotnych!... A wszak na gwiazdy wszyscy i najubożsi nawet patrzą, czyż przez to z nieboskłonu stracić je zechcemy?... Wszak woda poi usta i najbardziej wzgardzonych istot ludzkich, a jednak i my ją pijemy... Jako pieśń o podkładzie czysto narodowym, przez tyle wieków nucona, przez pradziadów naszych niezgrabnym rymowaniem układana, wszakże to nasz skarb i tego nigdy nie wolno wyrzucać, nigdy nie należy po tem deptać.

Kolęda właśnie dlatego takie silne robi wrażenie na młode serca i wpija się w dusze pamięcią, iż jest to jedyna pieśń, którą razem w rodzinie wszyscy nuca z radością. Dziadunio osiwiwały, babunia staruszcza, ojciec, który nigdy nie śpiewał, mama zmęczona i utrudzona, niania, co ani razu z państwem nie śpiewała... teraz przy kolędzie staje i dzieci gromadka cała, a wszyscy weseli, szczęśliwi nuca:

„Pójdźmy wszyscy do stajenki!“...

Więc młode serce dziecka poi się wrażeniem, więc czar chwili uroczystej pisze na niem, jak na kliszy fotograficznej — obraz niezatarty...

— O!... jakże to było dobrze i pogodnie, ciepło i wesoło, gdy u nas kolędowano! — przypomina sobie potem pacholę w życiu, a i nie jeden starzec siwowłosy to samo powtarza:

— Jak to było dobrze!...

Nie żałujcież dzieciom tej chwili szczęścia i radości!... Wszystkie pięknie śpiewane, artystycznie skomponowane, na głosy dzielone kolędy, słyszane po miastach, po salonach zimnych — nie starczą za ten śpiew, jakim nucono kolędę w domu... gdy dziadunio najwięcej ochoty dodawał, a mama z dziećmi co raz inną kolędę z kantyczki wyszukiwała.

Nie długo tych chwil dla dzieci.

Przyjdzie życie ze swojemi prawami, porwie i uniesie chłopczyńę w dal, szkoły poczną go kolebać inną ręką, jak dłoń rodziny, świat pocznie wychowywać innem słowem, jak owe z ust ojca i matki, praca, trud, złe przykłady serce poczną ziębić, kaleczyć, ranić, aż i stanie się, jak ptaszyna bez piór, jak niebo bez słońca...

Jeśli ma wspomnienia — to jeszcze szczęście, jeszcze ton kolędy jakiej wszystko ożywi i zbudzi... lecz gdy wspomnień większych z domu nie ma, tylko te, iż mama dawała przysmaki, ojciec dawał pieniądze i na tem koniec...

Z wielu uroczystości wielkich w domach obchodzonych, wedle zwyczaju i tradycji uroczystość Bożego Narodzenia tem jest jeszcze najsilniejsza w działaniu na młode serca dzieci, iż prócz innych pięknych zwyczajów, ma

kolędy, które przyznać trzeba, są śliczne, miłe i barwnie układane.

Kolędy owe, są to najpierwsze zabytki literatury naszej narodowej, układane częstokroć przez ludzi niepiśmiennych, ileż mają w sobie kolorytu, plastyczności i harmonii! Z kolędami uczy się dziecko zarazem i poezji naszej najdawniejszej, widzi, jak malowany ów świat daleki, gdzie to Kuba barana dźwiga, Staszek kozę za rogi łapie, a gruby Maciek musi stać za progiem stajenki, bo się z swym brzuszkiem nie zmieści...

Częstokroć i dzieci nasze, potajemnie w kuchni z Marysią lub Basią te kolędy nuca, bojąc się, aby w salonie nie było słychać, a wtedy pamięć o tych kolędach zatrze się rychło i może nigdy w wspomnieniu nie odżyje.

Bez kolęd wspólnie w rodzinie śpiewanych niema prawdziwej uroczystości Świąt Bożego Narodzenia i w wychowaniu dzieci — niema gwiazd tych, które wśród nocy — od zbłąkania chronią.

Biedne dzieci — gdy tego nie mają.

J. St.



Etykieta dworska za Ludwika XIV-go.



Dnia 2-go Czerwca 1660-go roku, znudzony blisko miesięcznym pobytem w Saint-Jeande-Luz, dwór francuzki otrzymał nareszcie wiadomość o przybyciu Filipa IV-go i infantki Maryi Teresy do Fontarabie. Uroczystości ślubne rozpoczęły się zaraz nazajutrz.

Ułożenie programu tej wielkiej ceremonii tak, aby się stało zadość wymaganiom etykiety obu dworów: francuzkiego i hiszpańskiego, zajęło sześć dni czasu i wymagało z obu stron wiele dobrej woli. Zadanie polegało na ożenieniu króla Francji z córką króla hiszpańskiego w ten sposób, by król Francji nie stąpił nogą na ziemię hiszpańską, ani król Hiszpanii na ziemię francuzką i by infantka, przed zaślubieniem, ani na krok nie odstępowała swego ojca. Dla dworu francuzkiego, na którym karność pozostawiała wiele do życzenia, drobne szczegóły i szczegółiki osobiste, co chwila się nasuwające, komplikowały mocno trudności ogólniejszej natury.

Brat królewski — a domniemany następca tronu Francji miał nadzwyczajną ochotę uczestniczenia w ceremonii hiszpańskiej w Fontarabie, lecz etykieta zmuszała do szanowania w nim tego jego charakteru urzędowego.

„Ludwik XIV-ty był pewny, że domniemany następca tronu hiszpańskiego nie przybyłby do Francji dla zobaczenia takiej ceremonii“ *) i dlatego następca tronu francuzkiego otrzymał odmowną odpowiedź na żądanie pozwolenia na przekroczenie granicy. Mademoiselle (siostra stryjeczna króla) nie dała jednak za wygraną. Przedstawiła, że zakaz nie może być do niej stosowany i powołała się aż na ustawę salicką dla pozyskania prawa przebycia Bidassoi. „Ja nie dziedzicę tronu! — wołała — nie mam praw, niechże więc nie wkładają na mnie obowiązków!... Kiedy córki Francji na nic się nie przydają, niechże im przynajmniej będzie wolno zobaczyć to, co widzieć mają ochotę!“

Mazarini wezwał ministrów dla przedstawienia im tego argumentu. Dyskusja trwała „trzy do czterech godzin“ i ostatecznie

*) „Mémoires de Madeimoselle.“

Mademoiselle wygrała sprawę, chociaż król był raczej jej żądaniu przeciwny.

Kwestya „trenów“ sprawiła też wiele kłopotów kardynałowi. Pewien książę ofiarował się nieść tren Mademoiselle w czasie obchodu ślubnego. Mazzarini musiał zająć się poszukiwaniem książąt dla młodszych siostr przyrodnich Mademoiselle, dzieciaków, które dama dworu ich matki, księżnej Orleańskiej, przywiozła na tę uroczystość. Mazzarini wynalazł tylko markiza i hrabiego; książęta się wymówili. Dama dworu podniosła okrzyk: „Moje księżniczki muszą mieć równie dostojnych panów do niesienia trenów, jak starsza ich siostra, albo wcale nie pojadą.“ — „Zrobię wszystko, co będę mógł — odpowiedział kardynał, — ale nikt nie chce.“

Mademoiselle była tyle uprzejmą, iż zrzekła się swego księcia i Mazzarini już się uspokoił, gdy wtem w ostatniej chwili, w sam dzień ceremonii, księżna Palatynu (Anna Gonzaga) nową wywołała kwestyę. Na pokojach królowej ukazała się w trenie. Jako księżniczka cudzoziemska nie miała do tego prawa. Liczyła na zamieszanie ogólne, wsunęła się niejako kontrabandą, dając tem przykład innym damom tej samej kategorii. Na to nie można było pozwolić. O trenie księżnej dowiedziała się Mademoiselle i nie nie pomogło, nawet chwila tak uroczysta; kardynał i król musieli wysłuchać prawdziwych rozpraw o prawach książąt cudzoziemskich: „Zdaje mi się, że byłam wymowną“ — pisała Mademoiselle. Była wymowną istotnie, bo księżna Palatynu otrzymała rozkaz zdjęcia trenu. Ale wróćmy do przedmiotu, gdyż „treny“ zaprowadziłyby nas za daleko.

Stosunek między dwoma monarchiami został uregulowany z przesadną drobiazgowością. Widzieć się mieli z sobą jedynie w sali specjalnie zbudowanej na wyspie Faisans, lub konno na granicy. Połowa sali znajdowała się na terytorium francuzkiem, druga na hiszpańskim. Ozdoby i urządzenia każdej połowy były inne. Ludwik XIV-ty mógł stąpać tylko po francuzkich kobiercach, Filip IV-ty tylko po hiszpańskich. Pierwszy siedział na krześle francuzkiem, pisał na stole francuzkim, piórem i atramentem francuzkim, patrzył na zegar francuzki, umieszczony w swojej połowie sali; drugi z tą samą ścisłością wystrzegał się wszelkich przedmiotów, które nie były hiszpańskie. Dwoje drzwi naprzeciw siebie otwierało się przed nimi jednocześnie. Jednakowa ilość kroków dzieliła drzwi owe od miejsca, gdzie czerwony dywan francuzki stykał się ze złoto-srebrnym dywanem hiszpańskim... Rozmawiali z sobą, całowali się nawet po przezeń granicę. Tak mieć chciały prawa ceremoniału monarchicznego.

Ta surowość etykiety zaczęła dziwić poczciwych Francuzów; spotkania na wyspie Faisans stały się legendowemi.

Fontaine spotkanie to miał na myśli, gdy pisał jedną z ostatnich swoich bajek, p. t.: „Dwie kozy“, w której dwie kozy równie przejęte swoim dostojnictwem — jak ci dwaj monarchowie — równie poważnie zbliżają się ku sobie na wązkim i wątlwym mostku.

Je m'imagine voir avec Louis le Grand,
Philippe Quatre qui s'avance
Dans l'île de la Conférence *)
Ainsi s'avançaient pas à pas,
Nez à nez, nos aventurières....

Dnia 3-go Czerwca, chociaż narzeczeni i ich rodzice nie widzieli się ze sobą jeszcze wcale, król francuzki, Ludwik XIV, reprezentowany przez don Ludwika de Haro, zaślubił przez zastępstwo w kościele w Fontarabie infantkę Maryę Teresę. Był to wykręt, który

miał uratować godność dwóch koron. Po ceremonii młoda królowa powróciła do ojca.

Nazajutrz napisała do swego nieznanego małżonka list z oficjalnymi komplementami. Posiadamy odpowiedź Ludwika XIV: Z trudnego zadania młody król wywiązał się bardzo zrzęcznie:

Saint-Jean de-Luz, 4-go Czerwca 1660 r.

„Otrzymanie jednocześnie listu Waszej królewskiej Mości i wiadomości o ceremonii naszego małżeństwa i ta myśl, że znajduję się w przede dniu napawania się szczęściem widzenia Jej, czynią mnie niewymownie szczęśliwym. Kuzyn mój, książę de Crequi pierwszy szambelan mego dworu, którego posyłam umyślnie z tym listem do Waszej królewskiej Mości, zakomunikuje Jej uczucia mego serca, w których Wasza królewska Mość zauważyć raczy z każdą chwilą bardziej rosnącą niecierpliwość moją wyrażenia Jej tych uczuć osobiście. Złoży on również u stóp Waszej królewskiej Mości kilka drobiazgów, które przesłać się ośmielę.“

Tegoż samego dnia po południu Anna Austriacka spotkała się poraz pierwszy ze swoim bratem i brataną. Spotkanie miało miejsce w tej samej sali na wyspie Faisans. Filip IV zadziwił Francuzów mniej zachowujących tradycję, niż Hiszpanie. Był on „tak zeszytywniały w swoim dostojństwie, że można go było wziąć raczej za statuetkę, niż za żywego człowieka.“ Gdy Anna Austriacka chciała pocałować tego brata, którego przez lat czterdzieści pięć nie widziała, król zdecydował się zrobić ruch, lecz „dla usunięcia głowy tak daleko, by go w żaden sposób dotknąć nie mogła“ *). Królowa matka zapomniała o zwyczajach swego kraju. Uściskać się w Hiszpanii nie znaczy „pocałować.“ Jestto pocałunek bez dotknięcia ustami.

Przyniesiono krzesło francuzkie dla królowej matki, krzesło hiszpańskie dla Filipa IV-go i zasiedli „około linii dzielącej dwa królestwa“ *). Należało jeszcze posadzić Maryę Teresę i infantkę hiszpańską zaślubioną przez pośrednictwo z królem Francji. Ale gdzie ją posadzić?! We Francji czy w Hiszpanii! Na krzesło hiszpańskie czy francuzkie! Przyniesiono jedną poduszkę hiszpańską i dwie poduszki francuzkie, ułożono je na terytorium hiszpańskim i młoda królowa zasiadła na tem siedzeniu dwoistem, jak dwoistą była jej sytuacja. Ludwik XIV-ty nie towarzyszył matce, gdyż etykieta nie pozwalała jeszcze, by małżonkowie rozmawiali ze sobą. Postanowiono, że król francuzki wyjedzie konno na brzeg Biddassoi, a infantce pozwolono patrzeć nań zdaleka przez okno. Z powodu romantycznej niecierpliwości młodego małżonka, odstąpiono w części od powziętego programu. Ludwik XIV-ty przyglądał się swej młodzietkiej małżonce przez drzwi uchylone.

Przez kilka chwil małżonkowie przyglądali się sobie zdaleka, poczem każdy wrócił do siebie, ona do Fontarabie, on do Saint-Jean-de-Luz.

W niedzielę d. 6-go Czerwca dopiero spotkali się oficjalnie na wyspie Faisans. Ale i teraz nie daleko zaszli, gdyż Filip IV-ty oświadczył, że infantka winna ukrywać swoje wrażenia, dopóki nie znajdzie się na ziemi francuzkiej.

Dnia 7-go Czerwca Anna Austriacka zabrała synową do Saint-Jean de Luz, gdzie młodzi małżonkowie mogli wreszcie rozmawiać z sobą w oczekiwaniu ostatecznej ceremonii ślubnej, która miała miejsce d. 9-go Czerwca w kościele Saint-Jean de - Luz. W kilka dni potem dwór wracał do Paryża. Wjazd Maryi Teresy do stolicy nastąpił dnia 26-go Sierpnia. Orszak wyjeżdżał z Vincennes. „Musiałam wstać o czwartej rano — píše Mademoiselle, która miała „straszną migrenę“

*) Mattevill.

i okropne mdłości. O piątej wszyscy byli w strojach galowych a przyjechano do Luwru dopiero o 7-ej wieczorem. Mademoiselle upadała ze znużenia, ale księżniczka krwi nie może być chorą w dniu wjazdu królowej!...

Przegląd teatralny.

Ponętne widmo. — „Bluszcz.“ — Zaproszenie na kongres. — Dramat współczesny. — Jego wpływ. — Kwarantanna. — Dobra wróżba. — „Reduta“ Stanisława Kozłowskiego. — Tło. — Warszawa z 1821 r. — Żywe portrety. — Znamiona sztuki. — Serdeczne dźwięki. — Żądowanie widzów. — Jubileusz autora.

Ilekróć piszę dla „Bluszczu“ (przed kilku laty prowadziłem tu dział krytyki muzycznej), doznaję wrażenia, iż wchodzę do wspólnego ogrodu, gdzieś na dalekim znajdującego się południu...

Widmo jest ponętne...

W pięknych, długich alejach tego ogrodu, w którym rosną cyprysy i palmy, a kwitną drzewa pomarańczowe, widzę wysmukłe, powiewne postacie niewieście; suną one po ścieżkach cienistych, tu i ówdzie siedzą na ławkach marmurowych, trzymając na kolanach zwoje papierowe i księgi.

Na tle szpalerów ciemno-zielonych spostrzegam je wsparte o białe kolumny, zapatrzone kędyś w dal niedoścignioną.

Zapach kwiatów, delikatny świergot ptasząt, plusk fontanny sprawiają, iż się jeszcze lepiej ocenia tę nieczem niezamąconą błogą ciszę arkadyjską, będącą udziałem mieszkanki tego ogrodu egzotycznego.

Ot i teraz, choć mróz na dworze, a ja zasiadam do feljetonu teatralnego dla „Bluszczu“, złudzenie trwa, i zdaje się zamieniać w rzeczywistość.

A może niebawem zacznę rozmowę upragnioną z którąkolwiek z owych mieszkanki wysnionego ogrodu, gdzie „Bluszcz“ spotyka się na każdym kroku z troskliwą przez nie pielęgnowaną ręką. Może wszczęta pomiędzy nami rozmowa doprowadzi do pouczającej dysputy o sztuce, o jej przeznaczeniu w życiu człowieka, o wpływie jej na umysł i serce. Może z tej zobopólnej wymiany myśli potrafimy wydobyć prawdziwy pożytek dla sceny, która nasze wnioski wzięć pod uwagę, albo nawet uwzględnić będzie musiała?

W dziedzinie sztuki dramatycznej zapanował w czasach ostatnich taki chaos, tyle sprzecznych zdań wypowiadają w tej mierze ludzie, iż obowiązkiem jest naszym wedle sił przyczynić się do wyświetlenia prawdy.

Zapraszam więc, z początkiem Nowego Roku, do pracy w tym kierunku. Chodzi mi o zawiązanie korespondencji z czytelnikami „Bluszczu“ w sprawach, dotyczących teatru.

Kwestya to ważna, ważniejsza, niż się na pozór zdaje.

Toż do teatru uczęszcza ogromna liczba kobiet różnego wieku, z najrozmaitszych warstw społecznych i czerpie tam pokarm duchowy, który albo pokrzepia, albo zabija.

Twórczość dramatopisarska ostatniej doby zniżyła lot: zamiast pokazywać nam bohaterów, walczących o wielką ideę, lub głębokie uczucie, maluje nam karłów moralnych o rozkładającym się sercu.

I to oddziaływa zabójczo na całe młode pokolenie współczesne, ulegające wpływowi tej zgnilizny. Pora wystąpić do walki ze złem, a przystąpić do obrony serc jeszcze czystych.

*) Wyspa Faisans, zwana też była wyspą Konferencyi, od czasu, gdy odbywały się tu rokowania o traktat Pirenejski między Mazzariniem a don Louistem Haro.

**) Mémoires de M-me de Mattevill.

Wspólnymi siłami dużo można uczynić. Niech się w tej sprawie odezwie głos kobiety-polki i matki, która pragnie swe córki wychować bez skażenia ich dziewiczych wyobraźni.

Jak nie dopuszczamy rozszerzania się dżumy przez izolowanie chorych, tak kwarantanną moralną strzeżmy młode serca od zepsucia!

Wszelkie środki powinny być wypróbowane i omówione.

Pragnę zainicjować swego rodzaju kongres kobiet naszych w sprawie zadań, obowiązków i warunków rozwoju sceny. Jeżeli odbywają się kongresy anti-alkoholiczne, dlaczego nie można zwołać kongresu przeciwko szerzeniu niecnej literatury dramatycznej?

Ten kongres niech się odbędzie w „Bluszczu.“ Wszelkie referaty, listy, uwagi, z powodu starych czy nowych sztuk, proszę nadsyłać, jako materiał do pożądanej dyskusji.

Nieraz się zdarza, iż matka, kupując bilet do teatru, zapytuje kasyerki, czy na sztukę może zabrać córeczkę? Otóż radbym przeglądy niniejsze uczynić również pod tym względem pouczającymi. Nie jest to rzecz małej wagi. Pisma nie dają żadnych wskazówek wyraźnych, czy dany utwór kwalifikuje się dla młodych panienek. Często też rodzice narzekają, iż się przed własnym dzieckiem muszą w teatrze rumienić, gdy patrzą na to, co się dzieje na scenie.

Chcę zaradzić brakowi i kontroli tę w sprawozdaniach prowadzić. Wogóle pragnę zawiązać ściśle wymianę myśli, pomiędzy „Bluszczem“ a jego czytelniczkami — a może ten zamiar, pomyślnie urzeczywistniony, dobre przyniesie owoce.

Pod szczęśliwą wróżbą rozpoczynam swe przeglądy, mogę bowiem mówić o sztuce niedawno wystawionej w Rozmaitościach, a godnej szczerzej, gorącej pochwały i jak najsympatyczniejszego przyjęcia.

Na benefis 45-letniej działalności artystycznej Bolesława Leszczyńskiego, ukazała się nowa komedia historyczno-obyczajowa p. t. „Reduta.“ Napisał ją Stanisław Kozłowski, pisarz utalentowany, który scenie naszej dał kilka utworów, mających duże w swoim czasie powodzenie, że przypomnimy „Esterkę“, „Taborców“, „Turniej“ i „Dyane.“ Ta ostatnia ma wiele pokrewieństwa z „Redutą.“ Autor upodobał sobie życie Warszawy w pierwszej ćwierci XIX w., poznał je i przestudyował szczegółowo. Następnie wziął to życie za przedmiot do komedii i na tle barwnym począł kreślić obrazy pełne wdzięku, wybornie odtwarzając tę Warszawę nie dzisiejszą, ale obecnemu pokoleniu drogą i chętnie na scenie widzianą. W „Dyane“ Kozłowski ukazał nam Warszawę z przed laty stu, „z czasów pruskich.“ Jest to chwila, w której, obok salonów pani kasztelanowej Połanieckiej, gdzie bywał Woroniec, rozgłos zyskują domy ks. podkomorzego na Solcu, marszałka Małachowskiego, Tadeusza Mostowskiego, Chodkiewicza, Stanisława ordynata Zamoyskiego, Stanisława Potockiego. W domach tych szukać należy początków „Towarzystwa Przyjaciół Nauk“, będącego punktem kulminacyjnym dzisiejszej sztuki Kozłowskiego „Reduta.“

Tym razem autor przesuwą przed nami życie Warszawy z 1821 roku. Życie to znamy „z pieśni i powieści.“ Opowiadały nam o niem wiele babki nasze, które wyniosły z tych czasów miłe na zawsze wspomnienie. Toż to są czasy Fredry; a różne Aniele, Klary, Elwiry, Emilie i Justyny istnieją w rzeczywistości, śmieją się, bawią, kochają bez troski o jutro.

W tem samem towarzystwie obracają się wtedy i uczestniczą ludzie wielkiej zasługi współczesnej: Staszyc, Niemcewicz, Osieński.

Posiedzenia „Towarzystwa Przyjaciół Nauk“ stanowią jedną z najmielszych rozrywek mieszkańców Syreniego grodu. Po sumie w katedrze albo u Pijarów, Warszawiak lub Warszawianka z 1821 r. spieszyli w niedzielę na szklaneczkę ponczu lub filiżankę czekolady do cukierni Baldego, następnie zaś podążali na posiedzenie „Towarzystwa Przyjaciół Nauk“, gdzie można było spotkać całą wytworną „socyetę“ z ks. namiestnikową Zajączkową na czele. Wieczorem stolica dawała sobie *rendez-vous* na reducie w pałacu Radziwiłłowskim na Krakowskim Przedmieściu, albo później na Foksalu i na placu Krasińskich. Te reduty miały przywilej świetnej zabawy; dzisiejsze nasze maskarady są nędzną kopią ówczesnych, przepełnionych intrygą i lśnących dowcipem. Rej na tych redutach wiodła ks. Zajączkowa, zalotna, piękna i sprytna pani, pochodząca z rodu niewysokiego, ale umiejająca utrzymać się na wyniosłym poziomie towarzyskim, na jaki ją ręka losu dźwignęła.

Cięty dowcip Żółkowskiego (ojca), przekazany nam w tradycji, na jednej z takich redut dotknął ostrzem swem księżnę, przebraną za hafaciarke. Słynny aktor i humorysta, przebrany za latarnika, w te słowa do niej się odezwał:

Poznaję ciebie, moja masko miła!
Kiedyś *znaczyła*, toś nie nie *znaczyła*,
Dziś twoje sprawy stoją inaczej:
Dziś maska *znaczy*, chociaż nie nie *znaczy*.

Ks. Zajączkowa, zanim została małżonką namiestnika, była szwaczką, — tak przynajmniej mówi o niej tradycja, a popierać ją zdaje się opinia współczesnych pamiętnikarzy.

Cztery akty sztuki, to cztery obrazy, namalowane ręką, posiadającą niezaprzeczony talent w dobieraniu farb, pozowaniu osób i w portretowaniu ich stylowym. Z tych czterech obrazów, każdy ma swoją odrębną charakterystykę, swoją miłą i zajmującą fizyognomię. Czy to w ekspozycji aktu pierwszego, kiedy poznajemy głównych bohaterów, czy w sentymencie aktu 2-go, gdzie narzeczona w żalobie oplakuje od lat 13-tu swego Wawrzyńca, który poległ na polu chwały, czy w mozaice barwnej aktu 3-go, na posiedzeniu „Towarzystwa Przyjaciół Nauk“, oraz aktu 4-go na reducie — od początku do końca nad sztuką roztacza się pogodny niebo letnie, unosi się zapach konwalii i rezedy.

Tam, w głębi utworu, widz odczuwa silniejsze tętno życia społecznego, które przecież redutą się nie kończyło, ale koloryt sztuki, jej cechy zewnętrzne, wiernie kopiujące pewne rysy rzeczywistości, galeryja takich portretów, jak Staszyc, Niemcewicz, Osieński, generał Krasiński, po części Wiesław i ks. Zajączkowa, budzi niekłamany, powszechny wśród widzów interes. Postać Napoleończyka, majora Bończy, nadaje obrazowi specjalne piętno, zwłaszcza w zakończeniu sztuki, gdy sztafeta przynosi wieść o śmierci Napoleona. Rozmowy o walkach w Hiszpanii, opowiadanie o Sommosierze, o Wawrzyńcu, który tam legł trupem, poruszają serce. Publiczność odczuwa te sceny i przeżywa je się niemi, bo wie, że to nie romantyczna ballada, ale opis prawdziwych czynów bohaterów.

Dopełniają całości drobiazgi życia ówczesnego, dziś z rozrzewnieniem roztrząsanego. Hilary i Leon dobierają się szczęśliwie, prawem kontrastu: ona wniesie do domowego ogniska szczerze przywiązanie, on, po bałamuctwach i płochych epizodach młodości, będzie mężem statecznym, który potrafi uszczęśliwić miłującą go kobietę i za lat kilka zająć wybitne miejsce w społeczeństwie. Można się tego po ruchliwości i energii młodzieńca spodziewać na pewno. Porwie go prąd czynów...

Przy tych postaciach blade wyglądają: ks. Adela Zajączkowa i hr. Rozalia Potocka; w ich piersiach zupełna już pustka, wyschłe serca kołaczą się tam jeszcze, ale nie wydają dźwięku. Muzyka przeszłości wylewa się jednak melodyjną falą ze sztuki i przez cały ciąg akcji zachwyca widza, rozkoszując się tonami gitary, której struny rozbrzmiewają w przestrzeni i nastrajają duszę do marzeń.

Czarowi tej muzyki jakże chętnie poddaje się publiczność, tłumnie zalegająca salę teatru Rozmaitości na każdym przedstawieniu „Reduty“!

Niech nam autor muzykę tę gra dalej, niech w takt jej pisze swoje komedye obyczajowe, posiadające wartość historycznych ilustracji, niech będzie przekonany, że mu jesteśmy za każde podobne dzieło wdzięczni serdecznie.

Na „Redutę“ spieszą „panny i panienki“, i nikt zgorszenia nie wynosi z kilku scen płochych, bo o charakterze ks. Adeli i hr. Rozalii nie mamy wysokiego mniemania. Natomiast wszystko inne w sztuce technicznie świeżością, a niektóre ustępy porywają szczerym wyrazem uczucia.

Piękna sztuka znajduje również piękne, stylowe uzmysłowienie w wystawie i interpretacji artystów. Pp. Lüdowa, Barszczewska i Tekla Trapszo, tudzież pp. Rapacki, Ładnowski, Leszczyński, Jliwicki i Roland (ci dwaj głównie), oraz cały zastęp reszty wykonawców, starannie spełniających swe zadanie we wszystkich rolach i rólkach, tworzą zespół strojny, subtelnie uwydatniający znamienne cechy sztuki z uwzględnieniem doskonałym jej tła i epoki.

Publiczność opuszcza teatr pod wyjątkowo miłym wrażeniem. Na kurytarzach i w szatni słychać głosy:

— Oto jest sztuka, godna sceny naszej...

— Dziś się teatr Rozmaitości wstydzić utworu nie potrzebuje.

— Nareszcie będę mogła spokojnie o sztuce rozmawiać z córką, nie rumieniąc się za jej treść przed własnym dzieckiem.

Autor tymczasem zaciera z radości ręce i patrzy ze słusznym zadowoleniem na powodzenie utworu. „Reduta“ toć to jubileuszowa sztuka Kozłowskiego, który w 1903 r. obchodził 25-lecie swej działalności pisarskiej. Młody to doprawdy jubilat! Jako 18-letni młodzieniec wystąpił w 1878 roku z „Pieśnią“, osnutą na tle „Pieśni nad pieśniami“ Salomona.

Wiersz zaczynał się od słów:

Dziewico, oblubienico!
Najpiękniejsza z cór Libanu!
Twoje szaty — wonne kwiaty
Aloesu i szafranu.

A kończył się, jak następuje:

Wśród przestworza, rzeki, morza
Uczuć mych nie stłumia tętna —
Miłość harda, jak grób twarda
I zawistna, i namiętna.

Do teatru wszakże miał większy pociąg, niż do lutni. Sam się do tego przed Maryanem Gawalewiczem przyznaje w „Echu“ z 1886 r. Scena była najulubieńszą dla niego rozrywką od dzieciństwa. Mając lat 13, Kozłowski improwizował tragedye przed rówieśnikami w domu; widzowie za to przedstawienie płacili mu orzechami. Ojciec darował chłopcu teatrzyk do zabawy, i w tym teatrzyku talent młodzieńczego dramaturga najpierw się objawiał... Aż przyszła chwila, kiedy pod wpływem natchnienia stworzył „Alberta, wójta krakowskiego.“ Z tej wyżyny mógł już śmiało mierzyć w górę i zakreślać lot w coraz szersze kręgi...

Adam Dobrowolski.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.



Opera: „Adryanna Lecouvreur.“ — Filharmonia: Koncert Barcewicza, Koncert kompozytorski Władysława Żeleńskiego.

Nie może się jednak odzwyczaić opera nasza od przygodnego wystawiania nowych oper, gwoździ dostarczeniu pola do popisu goszczącym u nas przelotnie obcym śpiewakom - gwiazdom! Po „Tosce“ Pucciniego, przyszła kolej na drugą z przeznaczonych na ten cel oper, mianowicie na czteroaktową operę, nieznanego dotąd u nas bliżej kompozytora włoskiego, Franciszka Cile'a, „Adryannę Lecouvreur.“ O ile jednak wystawienie „Tosci“ może być wytłumaczone po części wartością samego dzieła, które, o ile dyrekcyja znajdzie inne wykonawczyńskie roli tytułowej (a o tem, zdaje się, nie pomyślano), może długo utrzymać się na repertuarze, a nawet stać się stałą częścią jego, zawsze będącą w stanie interesować miłośników, o tyle wybór „Adryanny“ na żadne usprawiedliwienie nie zasługuje, gdyż utwór Cile'a nie posiada zupełnie danych, mogących mu zapewnić jakiegokolwiek powodzenie. Przedewszystkiem znany dramat Legouvé'go i Scribe'a, treść którego posłużyła za ośnowę do libretta omawianej nowości, a w którym główną i ciągłą rolę grają fakta, nie dające żadnego pola muzyce do zespolenia się z akcją, nie nadaje się do skomponowania na tle jego opery nowoczesnej — dramatu muzycznego. Dalej, w tych niewielu momentach, które mogłyby przedstawić pole odpowiednie do zobrazowania ich mowy tonów, zabrakło twórcy muzyki odpowiedniego talentu, aby potęgą natchnienia i temperamentem artystycznym oddziaływać choć trochę na słuchacza. Cile jest bez wątpienia muzykiem dobrym, co zauważyć można niejednokrotnie ze sposobu opracowania opery, przyobleczonej w porządną szatę harmoniczną i instrumentacyjną; brak mu wszelako tej iskry Bożej, która jedynie pozwala tworzyć dzieła, godne uwagi. Muzyka jego nie posiada tego rozmachu i siły, które zdolne byłyby choć na chwilę przykuć uwagę lub zająć głębiej. Ustęp za ustępem przechodzą bez wrażenia, monotonnie, nużąc w końcu szarą jednostajnością. Gdybyż jeszcze braki te okupywało bogactwo motywów, albo jakaś oryginalność inwencji! Ale gdzie tam! Co się tyczy motywów, to opera maestra włoskiego silnie szwankuje na tym punkcie. Trzy większe motywy, mające grać rolę „przewodnych“, i kilka drobnych temacików — oto wszystko, a jak na czteroaktową operę stanowczo za mało. Wszystkie one przytem nie posiadają szczypty oryginalności: Verdi, Bizet, głównie zaś Massenet i Puccini odnaleźć się dają w melodyach „Adryanny“ na każdym kroku, brak tylko samego Cile'a. Moglibyśmy przytoczyć więcej jeszcze stron ujemnych opery włoskiego kompozytora, nie czynimy jednak tego, nie chcąc zanadto znudzić łaskawych czytelników, zwłaszcza, że i tych, jakie wyłuszczyliśmy powyżej, wystarczy do zrozumienia, dlaczego dzieło Cile'a pomimo bardzo dobrej obsady na scenie naszej upadło. Tak jest, upadło sromotnie po trzech przedstawieniach, zostawiając po sobie melomanom warszawskim zagadkę nierozwiązalną, dlaczego w ogóle zostało wystawione, kassie zaś teatralnej porządną wyrwę w jej środkach. W jednym z poprzednich przeglądów wyraziliśmy zdanie, że wtedy tylko system repertuarowy nazwać można racjonalnym i korzystnym, zarówno pod względem artystycznym, jak i materialnym, gdy opiera się nie na przygodnie występujących śpiewakach zagranicznych i operach, specjalnie dla nich wystawianych, ale na stałym zespole artystów miejscowych i pewnej ilości dzieł, wybranych do produkowania ich

z oględnością, a posiadających wartość niewątpliwą. To zdanie nasze potwierdza, jak nie można już lepiej, epizod z „Adryanny Lecouvreur.“ Dla tego, aby dać p. Bellincioni możność zabłyśnięcia wspaniałą grą sceniczną w kilku momentach roli, lub p. Anzelmiemu popisania się kilkoma ładnymi efektami wirtuozostwa śpiewaczego zużyto nieprodukcyjnie sporo czasu i sił artystów miejscowych, chórów i orkiestry, wykosztowano się bezpożytecznie na kostyminy, dekoracje, całą wogóle wystawę, sprowadzono w ostatniej chwili z Włoch miernego barytonistę, który, czując się panem położenia, prawdopodobnie nie zaniebawił wyzyskać sytuacji, wreszcie narażono samych siebie na łatwo zrozumiałe rozgoryczenie po niepowodzeniu dzieła, z góry już skazanego na upadek, i na słuszną krytykę bywalców operowych. Zaiste, gra nie warta świeczki.

Mamy nadzieję, że projektowane niezadługo wystawienie przepięknej opery Bizeta p. t. „Poławiacz pereł“, o czem nie omieszkamy zdać sprawy w następnym przeglądzie, powetuje operze naszej sowiec niepowodzenie z „Adryanną“, czego jej z całego serca życzymy, tymczasem zaś przechodzimy do spraw Filharmonii, która, trzymając się wiernie zapowiedzianego przez siebie programu, zrywa powoli z praktykowanym w zeszłych sezonach systemem opierania koncertów swych wyłącznie lub przeważnie na solistach zagranicznych, i, jak się zdaje, wcale źle na tem nie wychodzi. Dawniej żaden wieczór Filharmonii nie obywat się bez dwóch przynajmniej solistów, obecnie taką obfitość sił artystycznych zamiejscowych spotykamy nie tak często, natomiast każdy program, czego dawniej nie bywało, przynosi ze sobą jakąś nowość muzyczną, a nawet kilka, co na szczere uznanie pod każdym względem zasługuje. Przytem nadmienić należy, że dyrekcyja wielką uwagę zwraca wciąż na koncerty filharmoniczne, t. z. „wtorki“, przeznaczone dla szerszych warstw społeczeństwa, umieszczając na ich programach dzieła istotnie wspaniałe i atrakcyjne. W ostatnim np. miesiącu usłyszeliśmy na tych wtorkach takie utwory, jak: „Manfreda“ Schumanna, „Potępienie Fausta“ Berlioz, „Boże Narodzenie“ Bacha, oraz fragmenty z „Edypa w Kolonos“ Mendelssohna. Gdy dodamy do tego także jeszcze nowości, jak: cały I-szy akt z „Zygryda“ Wagnera lub olbrzymi poemat muzyczny Ryszarda Straussa p. t. „Życie bohatera“, wykonane na koncertach symfonicznych, gdy wymienimy wiązanek nazwisk takich artystów, jak: Hoffman, Bandrowski, Berber, Bellincioni, Friedman i innych, którzy przesunęli się przez estradę Filharmonii w ciągu kilku tygodni, wnosząc na nią dzięki swym talentom atmosferę wysoce artystyczną, gdy wreszcie wspomnimy o takich atrakcyach, jak: występy chóru krakowskiego lub popis kapelmistrzowski jednego z najznakomitszych w dobie obecnej dyrygentów, Ryszarda Straussa, przekonać się możemy, że młoda nasza instytucja muzyczna pracuje nie na żarty, działa z wielkim ożywieniem, z coraz większą dokładnością i, rzecz naturalna, z coraz świetniejszymi rezultatami artystycznymi. Dziś już nie zdarza się, aby w wykonaniu tego lub owego programu coś nie dopisało, coś się nie udało, — jednym słowem, aby harmonię ogólną wrażeń macił jakiś rozdzwięk przykry; żadna z sił artystycznych, dopuszczana do udziału z oględnością i rozważą nie zawodzi, orkiestra pod jednolitym obecnie kierunkiem, doskonali się coraz bardziej, to samo powiedzieć można o młodym chorze, który stopniowo wybija się na stanowisko coraz wydatniejsze, popisując się bardzo udatnie w utworach, przedstawiających nawet niemałe trudności do zwalczania. To ogólne przedstawienie stanu działalności Filharmonii i poziomu artystycznego, na jakim zdołała już

stanąć, uwalnia mnie od szczegółowego rozbiórki wartości wszystkich koncertów i zdawania sprawy poszczególnie z każdego programu. Wystarczy powiedzieć, że wszystkie koncerty udały się doskonale, nie wyłączając nawet popularnych, układanych z wielką starannością, obfitujących w masę cennych nowości, a prowadzonych przez bardzo dobrych dyrygentów w osobach: znanego już dobrze w Warszawie Rudolfa Bulerjajna i pełnego talentu kapelmistrza fińskiego, Schnéevoigta.

Na zakończenie niniejszego przeglądu wspomnieć jeszcze muszę o dwóch uciechach artystycznych, jakie pozostawiły po sobie wrażenia podniosłe i trwałe, — o koncertach: Barcewicza i kompozytorskim Władysława Żeleńskiego.

Program pierwszego z nich, oprócz, rozumie się, gry znakomitego naszego skrzypka, który przekonał nas, nie wiem już po raz który, że jest jednym z największych skrzypków tegoczesnych, zawierał nadto takie dwie atrakcje, jak śpiew niepospolicie uzdolnionej śpiewaczki-amatorki, p. Viertel de Sambuc, oraz nieznanego dotąd utwór większych rozmiarów młodego kompozytora swego, Mieczysława Karłowicza, Koncert na skrzypce z towarzyszeniem orkiestry. P. Viertel, rozwój bardzo pięknego talentu której śledzimy od samego pojawienia się jego na horyzoncie naszego świata artystycznego, wprowadziła nas w zdumienie postępami, jakie w sztuce śpiewaczej w ciągu roku uczynić zdołała. Niezwykle inteligentna, a przytem posiadaczka jednego z najpiękniejszych w Warszawie głosów, tak stoi obecnie już wysoko pod względem wyszkolenia i ogłady technicznej wspaniałego swego materiału wokalnego, oraz takim artyzmem rzetelnym krasi wszystkie swe produkcje, że słuszenie może być nazwana jedną z lepszych naszych śpiewaczek, nawet zawodowych. Co się tyczy Koncertu p. Karłowicza, to utwór ten bezwarunkowo należy do najlepszych z tego rodzaju, jakie pojawiły się w literaturze muzycznej wszechświatowej w ostatnich kilku dziesiątkach lat. Cokolwiek można byłoby powiedzieć względem pewnej jednostajności efektów technicznych w partii skrzypcowej, ujmijmy to dzieło młodego muzyka naszego nie czyni. Drobną tę usterkę, jeżeli to w ogóle usterką nazwać można, sowiec okupują liczne a cenne zalety. Wszystkich ich tu szczegółowo wyluszczać nie będziemy, wymienimy tylko najcenniejsze, jak: wielką szlachetność stylu, melodyjność tematów, nadzwyczajną jasność formy każdej z poszczególnych części, wreszcie niezwykle umiejętność i poczucie miary artystycznej w opracowaniu całości. Tych i innych jeszcze wielu przymiotów wystarczy, aby Koncert p. Karłowicza znalazł rychło szerokie rozpoznanie nie tylko u nas, ale i po za granicami kraju. Życzymy tego młodemu autorowi szczerze, a tymczasem utwór jego polecamy naszym wirtuozom.

Koncert Władysława Żeleńskiego, poświęcony wyłącznie jego utworom, w tej liczbie kilku świeżo skomponowanym, dowiódł, że serdeczny nasz pieśniarz to rzeczywiście organizacja niezwykle, której twórczość pomimo sześćdziesięciu lat z górą, ciężących na jej barkach, a z których czterdzieści kilka zużyte zostały na walkę pod sztandarem sztuki polskiej, nie tylko nie osłabła, ale przeciwnie, pełni się z siłą i energią zadziwiającą, a nawet rozwija coraz bujniej. Wymowny dowód tego przedstawia nowe wielkie dzieło Żeleńskiego, Koncert na fortepian z towarzyszeniem orkiestry, który w dość miernym nawet wykonaniu potrafił jednak wywrzeć wrażenie niezwykle. Ale bo też jest to dzieło istotnie znakomite, niezaprzeczenie jeden z najpiękniejszych koncertów, jakimi się w czasach nowszych świat muzykalny zachwyca. Dziwna jakaś świeżość natchnienia i polot artystyczny

biją z każdej niemal karty partycyi. Czy to w części pierwszej, nadzwyczaj szlachetnej w nastroju, czy w drugiej, pełnej poezyi, czy wreszcie w finale, wysoce charakterystycznym i oryginalnym, tematy snują się jeden za drugim melodyjne, płynne, świeże, a przytem, co na szczególną uwagę zasługuje, rdzenne i wybitnie swojskie. Bogactwu treści odpowiada przepych zewnętrznej szaty utworu. Harmonie i pomysły modulacyjne oryginalne, doskonałe proporcje w budowie architektonicznej, przednia robota kompozytorska, wreszcie instrumentacja barwna, wybornie podtrzymująca nastrój treści muzycznej—wszystko to składa się na całość wartości niepospolitej, znakomicie wzbogacającą naszą literaturę fortepianową i godną obiedzić całą Europę wzdłuż i wszerz.

St. Dziadulewicz.



Z listów do „Bluszczu.”



Kalisz, w Grudniu.

Nader pochlebne i zaszczytne to dla mnie wezwanie do napisania z naszego prastarego grodu korespondencji, ale zarazem i wielce odpowiedzialne. Jaktó, mężczyzna piszący do pisma, poświęconego sprawom kobiecym i do tego zamierzający pewnie pisać o Kaliszankach? Ależ to uzurpatorstwo, wdzieranie się w cudze pole, śmiałość niepraktykowana!

Przepraszam, szanowne panie, zarzuty te byłyby może słuszne w XIX-ym stuleciu, ale w XX-ym tchną pleśnią i anachronizmem. Wszak idea równouprawnienia przenika coraz szersze warstwy, a głos z przeciwnego obozu zawsze powinien być mile słyszany, a przede wszystkim chętnie, bo może odkryć słabe strony przeciwnika, pomódz do zbadania jego poglądów i doprowadzić do zupełnego zwycięstwa nad panem stworzenia.

Jeden z moich przyjaciół, bawiąc po raz pierwszy w Kaliszu, zrobił bardzo trafną uwagę, że chcąc przekonać się, czy Kaliszanki są piękne, musiałby przejrzeć chyba albumy u fotografów, na ulicy bowiem, na spacerze, w sklepach spotykał bardzo mało kobiet. Rzeczywiście, ogólnie biorąc, tak jest. Panie nasze mają sporo do roboty, praca zaś ich jest podniosła i nader płodna. Po za domowymi zajęciami, wytwarzającymi nie banalne bynajmniej gniazdo domowe, można prawie bez przesady powiedzieć, że nasze panie trzymają w swoich rączkach ster nawy dobroczynnej. Ochrona, żłobek, przytułek, szwalnia, rozdawnictwo odzieży i t. p.,—oto są instytucje, które swoje istnienie zawdzięczają kobietom. Oprócz tego miasto nasze przed otwarciem kolei odcięte niejako od świata, zmuszone było wytworzyć w sobie samoistną pomoc dla instytucji, nie mogąc liczyć na wsparcia z zewnątrz. Tym sposobem utworzyły się kółka amatorskie i inne stowarzyszenia, służące z jednej strony dla rozrywki, z drugiej strony, tworzące kadry na usługi dobroczynności. Niech się nikomu nie zdaje, że to nie praca kwestować, występować w teatrze lub na estradzie, przemysliwać nad nowymi środkami wydostania pieniędzy dla biednych. Wprawdzie moje osobiste zdanie jest takie, że system dobroczynności wymaga gruntownej reformy, że bale, rauty, wenty i t. p. nie mają dziś tej racji bytu, co dawniej i wszystko to zastąpione być winno przez jakiś powszechny podatek, ale nim to nastąpi, sprawiedliwość przyznać każe, że panie nasze ciężko pracują, a nawet nieraz wystawione są na przykre sytuacje. Opowia-

dano mi, że pewnego razu, dwie panie kwestujące na biednych w swoim rewirze, weszły do domu niezmiernie bogatego Niemca, chcącego uchościć tam, gdzie potrzeba, za Polaka. Służąca nie spostrzegła się, czy też omyliła się, dość, że wprowadziła kwestarki do stołowego pokoju, gdzie pan domu spożywał właśnie z rodziną obiad. Mysłicie, szanowne czytelniczki, że wyszły ztąd obdarowane? Ależ gdzie tam!.. Jegomość oznajmił, że nie nie da i prosi, aby go nie nachodzono podczas posiłku, a po za tem zadokumentował swoje wychowanie, bo nie raczył nawet prosić kwestarki, żeby usiadły. Stojący więc musiały wysłuchać oburzone i dotknięte panie tyrady bogacza!

Obecnie Kaliszanki zajęły się energicznie wprowadzeniem nauki słoju do ochrony.

Oprócz pola dobroczynnego i inne dziedziny nie leżą również odlogiem. Mamy tu wybitne poetki i literatki. Na łamach „Gazety Kaliskiej” spotykamy się bardzo często z nazwiskami kobiet. Pióra ich poruszają często kwestye bardzo poważne, a w feljetonach walczą o lepsze z wytrawnymi dziennikarzami. Z inicjatywy pań powstało stowarzyszenie spożywcze „Przezorność”; jedna z Kaliszanek podała prośbę o zatwierdzenie doniosłego znaczenia Kassy emerytalnej dla wszystkich stanów, a w świeżo powstałym oddziale Towarzystwa higienicznego panie zajmują poczesne miejsce w poszczególnych wydziałach.

Więc miałem prawo powiedzieć, że panie nasze nie próżnują. Moze tam czasami pieczeń na obiad jest przydymiona, klusieczki jakby z drewna, a małżonek w pokorze ducha chyłkiem zjawia się w sklepie po kolnierzyk, ale zaręczam solennie, że to zdarza się naprawdę tylko czasami. Trudno, dzień ma tylko 12 godzin, a rozerwać się na wszystkie strony nie można.

Latem Kalisz się wyludnia. Jaktó, spyta cie, szanowne czytelniczki, macie taki śliczny park, kąpiele, okolicę malowniczą i porzucacie to dla problematycznych, co do wygod letnich mieszkań i badań?.. Niestety, tak jest w istocie. Wszak i słońce nie jest bez plam. Moda tak chce, żeby podczas lata być nieobecną w mieście, więc nie ma rady. Ale jest jeszcze inna kwestya. Kiedym wyraził raz zdziwienie w tej samej sprawie, od nadobnej Kaliszanki usłyszałem wcale zdumiewające wyjaśnienie.

— Trzeba panu wiedzieć — mówiła piękna znajoma moja, — że panie tu ubierają się bardzo strojnie. Na spacerach, w parku, w cukierni krzywią się noski na strojnisię, nie posiadające całych kostyumów, a sztukujących suknie bluzkami, choćby jedwabnemi. Jest to uważane za brak elegancji i za zły ton. Oprócz tego jesteśmy skrupowane, no... wie pan... pancerzem, przeciw któremu protestują teraz wszyscy lekarze i higieniści. Uciekamy więc na wieś, żeby użyć swobody. Tam można ubrać się dowolnie, chodzić nawet boso. Jest więc przyczyna wyludniania podczas lata.

Na zakończenie, chciałbym spróbować moich sił na polu mody i jakkolwiek nie będę mówił o zimowych futerkach i kostyumach, niemniej przeto kwestya, którą chcę poruszyć, jest modną. Nikt mi nie może zaprzeczyć, że dziś każde niemal miasto prowincjonalne ma swoją kwestyę teatralną; Kalisz więc, nie chcąc pozostać w tyle, posiada ją również. Faktem jest, że teatr oprócz swego posłannictwa społecznego, jest również spójnią życia towarzyskiego i jako taki wpływa na ilość słubów, ilość sukien, okryć i kapeluszków (choć te ostatnie w teatrze są najmniej potrzebne); teatr jest neutralnym terenem dla wymiany towarzyskich obowiązków, ułatwia zbliżenie się serc, objętych już płomieniem Hymenu, lub zimnych jeszcze, ale już przeczuwających przeznaczenie. Jednem słowem, gdyby nie

teatr, to szwaczki, modniarki, restauratorzy *et consortes* zapełniliby przytulki, a serca wędliłyby, jak róże na pustyni.

Nie pojmował widocznie tego wszystkiego p. Myszkowski, były dyrektor teatru Kaliskiego, bo póki mógł, to grał ze starych szpargałów, otrzymanych w puściźnie i wtedy kochał nas ogromnie, a żegnając publiczność na scenie, przed wyjazdem do Ciechocinka, puścił ciurkiem łzy na wykrochmalony gors koszuli. Poczciwy człowiek! Przez trzy lata zbierał tu grosze, żył przyzwoicie, o jednej tylko rzeczy zdawał się zapominać, że Kalisz już na pamięć nauczył się rozmaitych „Gejsz” i „Bettin”. Więc powiedział Kaliszowi piękne „pa” i rozbił namioty w Lublinie.

Wszystko to dałoby się jeszcze jakoś wytłumaczyć, gdyby nie było jednego grubego „ale”. Nie wiem, czy p. Myszkowski czytał w wolnych chwilach między „Mikadem” a „Ptasznikiem z Tyrolu” opisy wojen Napoleońskich, przejął się jednak taktyką małego kaprała. Są mosty, które należy spalić, a są takie, które należy utrzymać. We Wrześniu więc p. Myszkowski złożył solenną obietnicę przed obywatelami miasta, że przyjedzie do Kalisza w Grudniu, zawarowawszy sobie, że przez ten czas żaden teatr nie będzie tu gościł, aby mu nie popsuł interesów. Składając tę przysięgę, już wiedział, jak się teraz okazuje, że nie przyjedzie, i w tem tkwi jego operetkowa moralność.

Kazimierz Halinka.

Lwów, w grudniu 1903 r.

„Śnieg” Przybyszewskiego na scenie lwowskiej. — Gdy nie stało „hellera”... — Wykłady dla kobiet o gospodarstwie wiejskiem. — Wiec studentek. — Nowe pisma.

Jeden z tutejszych publicystów inaugurując niedawno sezon odczytowy w Związku naukowo-literackim, rozpoczął charakterystykę stosunków lwowskich w ten sposób: Lwów nie ma życia towarzyskiego, nie ma salonów literackich, nie ma ogniska dla życia naukowego ani artystycznego, muzyka nikogo nie bawi, publiczność sprzykrzyła sobie teatr, a teatr publiczność, Lwów nie jest także ośrodkiem dla intensywnie pulsującego życia narodowego ani społecznego... Wynikałoby więc z tej negatywnej charakterystyki, że Lwów nie żyje, tylko wegetuje. I w istocie ponury ten obraz nie jest zbyt oddalonym od prawdy, a odnosi się to głównie do roku bieżącego, w którym nie wiadomo, czy pod przygnębiającym wpływem nieprzerwanego szeregu defraudacji i samobójstw, czy wogóle wskutek komplikujących się z każdym dniem warunków życia, nastąpił dziwny zastój i ociężałość we wszystkich kierunkach.

Nawet teatr, który przez kilka tygodni był jakoby zelektryzowanym i dawał objawy życia, zdrewniał na nowo. Ostatnią uwagę godną nowością był „Śnieg” Przybyszewskiego. Dramat ten budził wielkie zainteresowanie i wywołał ożywione dyskusje. W zasadzie godzili się wszyscy, iż jest to u twórcy „ostrego dekadentyzmu” powrót do formy łagodniejszej, lecz gdy jedni widzieli w sztuce tej tylko dramat wiarołomstwa, a w bohaterce Ewie nową odmianę demonicznej kobiety, to subtelniejsi rozkoszowali się przedziwną a pełną poezji melancholią, towarzyszącą wiecznie w duszy człowieka żyjącej „teśknocie” tak pięknie przez autora usymbolizowanej w Ewie, a przez p. Solską ucieleśnionej. Zanim jednak jeszcze mogło skryształizować się pojęcie o tej sztuce, znikła ona po drugim przedstawieniu z afisza, a to rzekomo dla jakichś podrażnionych ambicji aktor-skich.

Dla miłośników muzyki, atrakcją jest obecnie opera. Trzeba jednak mieć bardzo

obniżone wymagania estetyczno-artystyczne, ażeby mógł się rozkoszować operą lwowską. Opera heroiczna jako taka, jest już wogóle na wymiarciu; umysł i wyobraźnia nowoczesnego człowieka coraz trudniej godzą się z efektami scenicznymi tak daleko odbiegającymi od życia rzeczywistego i muzykalna kompozycja, i wykonanie jej muszą stać na najwyższym szczeblu doskonałości, aby mogły porwać zupełnie słuchacza i pozwolić mu zapomnieć o owych fatalnych efektach, które jak np. recitativa, kostiumy, masowe a rytmiczne ruchy i t. d., działają prawie zawsze rozsmieszająco.

Opera ma być od początku do końca i we wszelkich szczegółach graną i śpiewaną doskonale, albo niema być wcale.

Mieliśmy zeszłego roku we Lwowie instytucję, która stała na wysokości najwyższych wymagań artystycznych. Była to Filharmonia lwowska pod kierownictwem Hellera, lecz publiczność lwowska nie poparła należycie tej instytucji, a surrogat Filharmonii, który obecnie podaje nam pan Sityński, aby odbić sobie kosztą urządzenia sali nie może zastąpić wspaniałych produkcji orkiestry pod batutą Czelńskiego i Melzera, ani też występów pierwszorzędných światowej sławy artystów. Bardzo trafnie określił sytuację obecną dwuznaczny dowcip „Smigusa”: „do Filharmonii lwowskiej potrzeba było mało, bo tylko „hellera” — lecz z tego nie stało.”

Jako dodatni objaw podnieść należy urządzone we Lwowie staraniem Oddziału Lwowskiego c. k. Towarzystwa gospodarsko-galicyskiego cykl wykładów z dziedziny gospodarstwa wiejskiego dla kobiet. Wykładów tych było 38, od 16-o Listopada do 9-o Grudnia, był to zatem jakby cały kurs gospodarstwa wiejskiego, a program obejmował najważniejsze i najbardziej zajmujące kierunki tego działu, z których wymienię jako najgłówniejsze: Rola kobiety w pracy gospodarstwa wiejskiego, dziś a dawniej, Kobieta i łowiectwo; Hygiena żywienia; Gospodarstwo mleczne; Hodowla zwierząt domowych; O zużytkowaniu produktów sadów i pasiek; Z życia ryb i ich hodowli i w. i.

Nie ulega wątpliwości, że odczyty te, opracowane przez specjalistów w dziedzinie gospodarstwa i ekonomii społecznej mogły przynieść wielki pożytek tej warstwie kobiet, dla której głównie były obliczone, t. j. paniom, oddającym się z zamiłowaniem czy obowiązku zajęciom gospodarskim wiejskim. Niestety, udział tych pań był nader szczupły; pochodzi to w pierwszym rzędzie oczywiście z braku zrozumienia dla znaczenia wiedzy teoretycznej w pracy produktywnej, w wielkiej części jednak winę przypisać należy także nieudolnej organizacji odczytów. Nie zareklamowano ich poprzednio należycie w prassie, nie ogłaszano sprawozdań z odczytów, słowem nie obudzono dla nich zainteresowania — i tak, tyle chwalebnych zabiegów poszło prawie na marne.

Największym udziałem cieszyły się jeszcze odczyty, które bądź to obejmowały temat dla pań specjalnie nęcący, jak np. „Hodowla kwiatów w pomieszkaniu i w ogrodzie,” lub też wykłady o treści ogólnej, dla wszystkich zajmujące. Do tych ostatnich należał też odczyt ekonomisty d-ra Gargasza p. t. „Rolnictwo i jego funkcje w gospodarstwie społecznym.” Szczególnie zajmującym było przedstawienie znaczenia rolnictwa dla Galicji i kierunku, jaki ono przybiera w dobie obecnej, wobec coraz intensywniej występującego dążenia do wytworzenia rodzimego przemysłu. Coraz większą wagę zyskuje przy wzrastającej konkurencji targ zewnętrzny. W obecnie panującym systemie wymiany międzynarodowej Galicja, która niegdyś była „śpiczlerem Europy,” dziś zboża nie eksportuje,

wywozi natomiast jaja, drób, drzewo, nierogaciznę. I jest nadzieja, że Galicja co do tych płodów wyjdzie zwycięsko z walki konkurencyjnej, jeżeli tylko podjęte będą gorliwe starania o rozwój tych produktów, jako też i w dziedzinie sadownictwa i ogrodnictwa. Tak więc w tak zwanych „ubocznych płodach” gospodarstwa rolnego leży przyszłość ekonomiczna Galicji.

Wobec hałasu, wywołanego skandalami i procesami z ostatnich dni, przeszedł prawie niepostrzeżenie fakt, który jednak dla rozwoju wykształcenia kobiecego, a w dalszym ciągu i sprawy kobiecej może mieć wielką doniosłość. Był to wiec studentek uniwersytetu, urządzony w celu omówienia tutejszych szkół średnich dla kobiet. Jak wiadomo, niema w całym kraju jeszcze ani jednego gimnazjum rządowego dla dziewcząt, czyli innemi słowy, nauka w szkołach średnich przystępną jest dotychczas tylko dla warstw zamożniejszych, które mogą opłacać dość wysoką kwotę miesięczną (10 złr.) w gimnazyjach prywatnych. Rząd zdobył się tylko w ostatnim roku na urządzenie liceów, lecz dał im program taki, jak gdyby zamierzał nie ułatwić, lecz utrudnić uczniom liceów w przyszłości pracę zawodową. W rzeczywistości nauki w liceum nie przygotowują do żadnego zawodu ani też nie uprawniają do studiów wyższych, czy to uniwersyteckich czy też na politechnice.

Studentki zatem w przemówieniach swych uzasadniły konieczną i nagłą potrzebę przemiany liceów żeńskich w tym kierunku, ażeby odpowiadały zupełnie męskiej szkole realnej i upoważniały uczennice po ukończeniu szkoły do wstąpienia na technikę. W tym duchu też zapadła rezolucja i postanowienie poczynienia odpowiednich starań celem urzeczywistnienia tej idei. Postępowanie studentek zasługuje na wszelkie uznanie; świadczy ono nie tylko o wyższym poczuciu obowiązków obywatelskich i społecznych, gdyż korzyści, jakich się domagają, nie mają spłynąć bezpośrednio na nie, lecz na młodsze pokolenie; ale nadto był to i krok rozumny, że nie domagano się gimnazyjów żeńskich, których wprowadzenie — wobec wielkich kosztów, jakie pociągają za sobą szkoły nowe — leży jeszcze w dalekim polu, ale przemawiały tylko za zmianą już istniejących szkół, co jest o wiele łatwiejszem do osiągnięcia.

Koniec roku — w przeciwieństwie do innych zakończeń — nie budzi uczuć żalonych, gdyż zbyt ściśle łączy się z początkiem roku przyszłego, a zapowiedź nowych powstać mających przejawów działalności ludzkiej, zwykle pełna różowych nadziei, rzuca swój odblask i wstecz.

Do zapowiedzi takich należą zazwyczaj i nowe wydawnictwa prassowe. Tym razem ma ich być trzy: dziennik, tygodnik i miesięcznik. Dziennik, którego redakcja i fundusze ukrywają się dotąd w tajemniczych cieniach, ma być uszlachetnionym okazem pisma brukowego.

Gdyby powstało pismo, które przy taniości zaspakajałoby ciekawość i chęć rozrywki w sposób szlachetniejszy i bardziej pouczający, byłoby to wielką korzyścią.

Drugim pismem ma być tygodnik, przeznaczony specjalnie dla sfer robotniczych, a którego zadaniem, oprócz obrony interesów robotniczych, podniesienie także poziomu umysłowego, etycznego i estetycznego ludności robotniczej.

Trzecie pismo wreszcie przeznaczone jest dla młodzieży; ma ono działać w duchu postępowym na umysły dzieci.

F. N.

Poszukiwanie pracy dla ubogich.



Nowy oddział Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, powołany do życia pod hasłem: Zamiast jałmużny — praca, organizuje się i zaczyna stawiać pierwsze kroki.

Jaki jego cel i potrzeba?

Szukać pracy dla ubogich, pośredniczyć pomiędzy pracodawcami i biorącymi pracę, starać się o robotę do domu dla tych osób, które z powodu kalectwa lub też zajęć domowych, np. wdowy obarezone drobnymi dziećmi, po za domem pracować nie mogą, dostarczyć ubogim rodzinom odpowiednich przyrządów do pracy, badać moralną stronę rodzin, potrzebujących zajęcia i przyczyny braku takowego, zaopiekować się ubogą rodziną, tak, żeby wynaleźć dla niej robotę i uczynić ją fizycznie i psychicznie zdolną do pracy w rękę włożyć narzędzie, a w duszę chęć i energię do pracy. Brak takiej instytucji od dawna u nas uczuć się dawał.

Mamy biura pośrednictwa pracy, ale płatne i nie dla ubogich, którzy umierają z głodu i gdyby mieli grosz jaki, toby go przedewszystkiem obrócili na kupienie chleba. Oddział nasz przenosi dobroczynność w szeroką dziedzinę pracy społecznej. Będzie to prawdziwa bratnia pomoc, dająca tysiącom ludzi, nie tylko chwilowe złagodzenie nędzy, ale silną, stałą podporę do nowego normalnego życia i to w sposób, który nie poniży i nie zdemoralizuje ubogiego, ale go podniesie i uszlachetni. Szczególniejsze usługi może oddać nasze biuro gospodyniom domu, poszukującym praczek, pomywaczek, posługaczek i t. d., dla których rynkiem wynajmu było dotąd mieszkanie stróża.

Cośmy już zrobili?

Staraliśmy się zebrać, porozumieć, zorganizować.

Mamy już kilkuset ludzi, poszukujących najrozmaitszej pracy, już sprawdzonych i każdej chwili gotowych stanąć do apelu, najwięcej zaś wdów z licznymi dziećmi, dla których stała praca byłaby zbawieniem.

Co mamy zamiar zrobić w najbliższej przyszłości?

O ile nas poprze społeczeństwo; 1) Otworzyć kilka biur, jako naszych filii w najgłówniejszych punktach Warszawy; 2) Założyć kilka sal zajęć: pralnie, szwalnie, garkuchnie czy restauracje, w którychby mogli pracować chwilowo biedni potrzebujący pracy, i tam wykształcić się i wyrobić na umiejętnych i pożytecznych pracowników i dać się poznać ze swoich zdolności i chęci do pracy.

Checielibyśmy przytem wyzyskać wszelką dziedzinę pracy, dotąd leżącą odłogi, np. prać, szyc dla ubogich, którzy chodzą w dziurawym ubraniu i po kilka tygodni w brudnej bieliźnie, gotować dla głodnych i t. d. Musimy mieć salę, gdzieby stały maszyny, na których biedne szwaczki, nie mogące się zdobyć na własne narzędzia do pracy, miałyby sposobność szyc, i w ten sposób ułatwiać sobie zarobek. Przydałaby się też pralnia, w której mieszkanki wilgotnych suterów wdowy-praczki, mogłyby stale prać dla siebie i dla tych, którzy im pranie bielizny powierzają.

Będziemy też pisali prośby bezpłatne dla ubogich do różnych instytucji dobroczynnych.

Ze starszych, samotnych kobiet, mamy zamiar wykształcić cały zastęp opiekunek dzieci, chorych, któreby ubogim wdowom pomagały w zarządzie domem i zajęciu się dziećmi i w ten sposób pozwoliły im pracować korzystnie po za domem, a w razie choroby matki ubogiej, gdy ojciec pracuje w fabryce, też same posługi czyniły, co będzie z ogromną korzyścią dla podtrzymania normalnego stanu życia w biednej rodzinie. Pragnęlibyśmy zużyć drobny handel przenośny. Postanowiliśmy, jak najprędzej znieść się z rozmaitymi ogniskami pracy: z fabrykami, z Towarzystwami rolniczymi i w razie potrzeby pomagać biednym do wyjazdu na prowincję, szczególnie chłopcom i dziewczętom, których brak opieki i ulica w wielkim mieście tak strasznie zwyradnia.

W Paryżu zwracanie na prowincję ubogich, którzy na bruku wielkomiejskim rady sobie dać nie mogli, wykazała znakomite rezultaty.

O co publiczność prosimy?

1) O szerokie poparcie — bo szerokie nasze zadanie i szeroki materiał ubóstwa. Prosimy o poparcie nas osobiste, o sprawdzanie ubogich, potrzebujących roboty, o zajęcie się choćby tylko jedną rodziną, w tym celu, ażeby ją uczynić zdolną do samodzielnego zarobkowania, o radę ustną lub listowną, jaką robotę, lub gdzie można znaleźć takową dla ubogich; o wyszukiwanie jej dla nich i dawanie nam znać, gdy się znajdzie. Szczególniej podczas Świąt dorocznych nadarza się sposobność nadzwyczaj korzystna dla

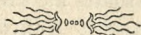
stron obu, dla dobroczyńcy i ubogiego, do praktykowania wsparcia przez pracę. Można zawezwać jakąś ubogą wdowę, aby zrobiła porządek w domu i za to dać biedaczce coś ze starego ubrania i jakie pożywienie na Święta.

2) Prosimy o poparcie nas groszem, czy w charakterze członków stałych, płacąc 7 rubli rocznie w ratach dowolnych, lub w charakterze członków czynnych i ofiarodawców. Najdrobniejsze ofiary, czy to stałe, czy jednorazowe, przyjmujemy z podziękowaniem.

Prosimy też o datki w naturze, o różne narzędzia do pracy, np. maszyny do szycia, wyżymaczki, żelazka do prasowania i t. p. Wszystkie ofiary i opłaty członkowskie można przysyłać albo za pośrednictwem pism, albo wprost do nas, lub też dać nam znać listownie o dobrych swoich chęciach, a przesyłanie kwoty pieniężnej do naszej kasy ułatwimy.

Ks. W. Kirchner,

wice-prezes oddziału wyszukiwania pracy dla ubogich.
Leszno 68 (od godz. 4-ej do 9-ej wieczorem).



Kronika działalności kobiecej.



— **Francya.** We Francyi założono w różnych dwudziestu większych miastach, dwadzieścia specjalnych szkół dla dozorczyń chorych i rekonwalescentów. Dozorczynie, po ukończeniu kursów w szkole, przebywają dwuletnią praktykę w szpitalu i dopiero po uzyskaniu odpowiedniego świadectwa wolno im zajmować się prywatnie.

— **Anglia.** Działalność inspektorek sanitarnych, z których pierwsze zanominowane zostały w r. 1897, okazała się tak owocną i pożyteczną, tak prawdziwą jest dla kobiet pracujących w przemyśle ochrona, że powiększona została ich liczba do 45-ciu. W Birmingham jest ich 12, w Liverpoolu 9, w Sheffield 7, w Leeds, w Manchesterze i w Stockporcie po 2, w Bradfordzie, Old-hamie, Bootle, St-Helenie, Middlesborough, Norwichu i Rocksdale po 1.

— **Saint-Louis.** Główna kierowniczka i wizytatorka szkół w Indyach, panna Reel odbyła podróż do różnych szkół indyjskich w Kalifornii, Nowym Meksyku, Arizona, Oklahoma i poczyniła przygotowania do wielkiej specjalnej wystawy szkół indyjskich, która ma być zaprodukowana na wystawie w St. Louis, w 1904 r. Na wystawie tej ma być uczczona, po stu latach, pomnikiem sławna Indyanka Sacajawea, która razem ze swoim mężem nazwiskiem Chaboneau, oddała w roku 1805 i 1806-ym nieocenione usługi wyprawie Lewisa i Clarka przy badaniu stanów Mississipi. Tylko dzięki dzielnej Indyance, wyprawa Lewisa cieszyła się w końcu szczęśliwym rezultatem. Oddział wystawy, który obejmować będzie pomnik Sacajawei, czyni gorliwe poszukiwanie, aby na wystawę sprowadzić potomków historycznej Indyanki.

— **Monachium.** Nowy miesięcznik, poświęcony specjalnie zreformowaniu odzieży kobiecej ukazał się pod kierunkiem Elli Law.

Miesięcznik obejmuje z największą drobiazgowością tak stronę artystyczną, jak i praktyczną uprawianą przez siebie specjalności.

— **Stany Zjednoczone.** Panna Małgorzata Haley, bardzo czynny członek w Stowarzyszeniu nauczycielskiem w Chicago, została przez prawodawczy komitet przemysłu i robót, zaliczona w poczet członków tegoż komitetu. Wejściu jej zawdzięczają nieletni fabryczni robotnicy, nader energiczną działalność w kierunku ograniczenia liczby godzin pracy dla nieletnich, usunięcia z fabryk dzieci mających mniej niż lat 12, oraz opieki nad dziewczętami, zajętemi pracą fabryczną.

Z. S.



Nasz ul.



— W jednym z ostatnich numerów „Kroniki Rodzinnej” zamieszczono art. p. t. „O szacunku dla pracy,” przez B. L. Autor artykułu swój poczynił aforyzmem: „Pieniądz, zdobyty własną pracą człowieka, uszlachetnia go i podnosi, darowany poniża go i psuje.” W myśl tego aforyzmu wszyscy powinni postępować, a zwłaszcza przy wychowaniu młodzieży. Nader rzadką obecnie jest szlachetna duma, aby sobie i własnej swej pracy zawdzięczać stanowisko w społeczeństwie i pomoc innym przyjmować tylko w ostateczności, a z bratnią dłonią zwracać się ku potrzebującym. Nadmierne pragnienie przyjemności i używania tłumi wszelkie szlachetne instynkty młodzieży, a więc i popęd do pracy, choćby ona tutaj właśnie była najwłaściwszą. Matki, przy wychowaniu dzieci swoich, powinny starać się, aby one z wczesnym przywykły do pracy, by ta z czasem stała się dla nich przyzwyczajeniem.

Należałoby wrócić do prawd prostych a głębokich, które przez wieki krzepiły ludzi dobrej woli, a jak wtedy były one, tak są i dzisiaj wyrazem jedynych i rzeczywistych potrzeb naszych. Należy zawsze postępować w myśl maksymy: Módl się a pracuj, gdyż modlitwa bez pracy nie dla każdego jest możliwą, praca bez modlitwy prowadzi często do złego, razem dopiero uszczęśliwiają i podnoszą człowieka.

— W ostatnim numerze „Przyjaciela zwierząt” zamieszczono nader zajmujący z punktu widzenia wychowawczego artykuł p. M. R. p. t. „Opieka nad zwierzętami jako czynnik umoralnienia człowieka.” Obecnie rodzice i wychowawcy niewielką zwracają uwagę na obchodzenie się dziecka ze zwierzętami, a nawet sami uczą je złego obchodzenia się z nimi, pobudzając je, zezwalając patrzeć na cierpienia zadawane zwierzętom przez służbę i obcych, nie uczą współczucia i litości nad smutną dolą katowanych zwierząt. Zagłusza to w dzieciach uczucia litości, wyplenienia dobro a uczy zdziczenia, złości; pozbawia współczucia i miłosierdzia, a zaprawia do okrucieństwa i srogości. A wszak tego wszystkiego dziecko nauczyć możemy? Racjonalne wychowanie dzieci, to najpewniejszy sposób ukształtowania pomyślniejszej przyszłości. Gdy serdeczna życzliwość dla wszystkiego, co nas otacza, stanie się główną skłonnością duszy dziecięcia, to stanie się ona i dorastającego człowieka drugą naturą. Złaszcza, że opieka nad zwierzętami nie może wykluczać opieki nad ludźmi przeciwnie, może ją rozwinąć i przyczynić się znacznie do moralnego postępu ludzkości.

Redakcja „Przeglądu filozoficznego” ogłosiła konkurs na dwie rozprawy filozoficzne: „O przyczynowości” i „O metodzie etyki.” Dwa najlepsze opracowania tematów otrzymają nagrody po rubli 500, inne, nie nagrodzone, lecz przeznaczone do druku w „Przeglądzie,” otrzymają honorarium autorskie po rubli 20 od arkusza. Termin nadsyłania prac, objętości czterech arkuszy formatu „Przeglądu” pod adresem redakcji „Przeglądu filozoficznego” Mokotowska, 47, upływa dnia 15-go Lutego 1905-go roku.

— Uniwersytet ludowy w Krakowie rozpoczął swą działalność z licznym udziałem osób, szczególnie słuchaczek. Z wykładów korzysta głównie publiczność inteligentna, lecz nie warstwy, na które przeważnie liczone.

— Redakcja „Niwy Polskiej” ogłosiła dla prenumeratorów swoich konkurs na najlepszy aforyzm własny i cudzy. Za najlepszy aforyzm własny przyznana będzie nagroda pierwsza w summie rubli 300 i druga rubli 100. Za aforyzm cudzy pierwsza nagroda wynosi rubli 50, druga rubli 25. Termin nadsyłania aforyzmów pod adresem redakcji „Niwy Polskiej” (Wspólna, Nr 63B), upływa z dniem 15-ym Kwietnia r. b.

— Na stanowisko profesora rysunków i malarstwa w warszawskiej Szkole rysunkowej, po ś. p. Adamie Badowskim, powołano artystę-malarza p. Felixa Słupskiego.

— Konkurs na budowę Domu Ludowego w Warszawie został rozstrzygnięty w dniu 7-ym z. m. Pierwszą nagrodę, w summie rubli 1,000, przyznano projektowi pod godłem „Gwiazda” pp. Hugona Kudera i Władysława Żychiewicza.

— Powstał projekt założenia w Łodzi Towarzystwa ochrony kobiet. Myśl ta, ze względu na wielką ilość młodych, samotnych kobiet, pracujących w fabrykach łódzkich, a narażonych na różne niebezpieczeństwa jest bardzo doniosłą i zasługuje ze wszelkich miar na poparcie.

— W Abbazji zmarł ś. p. d-r Jan Czerwiński, znany lekarz, b. właściciel zakładu hydropatycznego w Fürstenhofie w Styryi, założyciel krakowskiej „Reformy,” autor wielu broszur politycznych.

Pszczola.

— Złożono w Administracji naszego pisma dla chorej nauczycielki z matką sparaliżowaną (Quodlibet w n-rze 36-ym):

P. H. B. zamiast rozsyłania powinszowań noworocznych rub. 1; Ap. Ol...ski „ziarnko do ziarnka” — kop. 10.

Treść numeru:

Idzie!... przez Jadwigę z Ż. Strokową. — Matka, przez Karolinę Szaniawską. — Przy kominku (pogawędka), przez Kazimierza Glińskiego. — Trzy sonety, przez Milea. — Kolędy w rodzinie, przez J. St. — Etykieta dworska za Ludwika XIV-go. — Przegląd teatralny, przez Adama Dobrowolskiego. — Przegląd muzyczny, przez St. Dziadulewicza. — Z listów do „Bluszczu:” z Kalisza, przez Kazimierza Halinkę; ze Lwowa, przez F. N. — Poszukiwanie pracy dla ubogich. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Nasz ul., przez Pszczolę. — Ofiary. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się Referat w sprawie ogrodnictwa, przedyskutowany w Delegacji gospodyń wiejskich przy Sekcyi rolnej, oraz arkusz pierwszy powieści „Miłość moim grzechem.” w przekładzie z francuskiego M. Łaganowskiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 30). — Przepisy kuchenne, oraz tablica krojów.

~ O G Ł O S Z E N I A ~

Ceny niskie! — Wielki wybór

OKRYĆ DAMSKICH

najnowszych fasonów, oraz

Konfekcyi Futrzanej.

„Magazyn Francuski”

MARSZAŁKOWSKA 152.

(przy Ogrodzie Saskim).

33 NOWY-SWIAT 33

SKŁAD PAPIERU

Edwarda Teodorkowskiego

poleca wielki wybór papierów listowych krajowych i zagranicznych. Albumy do kart pocztowych, karty pocztowe, wizytowe, oraz wszelkie roboty drukarskie i litograficzne.

Najodpowiedniejszy prezent na gwiazdkę:

Nowa serya poezyi Zofii Kępczowskiej

p. t. „**PROMYKI**”

Wydanie wytworne. — Cena rb. 1.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Skład główny u wydawcy. Księgarnia Nakład. M. Szczepkowskiego
Nowogrodzka 23.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41.